

TATERNIK



2
1981

TREŚĆ

Zanim będzie za późno... (W. Zieliński)	49
Doznania somatyczno-psychiczne podczas wspinaczki (M. Mikołajczyk)	51
Alpejskie czterotysięczniki (J. Hajdukiewicz)	52
Spitsbergen 1980 — na morzu i w górach (R. W. Schramm)	53
Krym 1980 — czas skończyć z improwizacją (A. Lwow)	54
Rakaposhi 7788 (R. Kowalewski)	56
Dhaulagiri 1930 (L. Wliczyński)	61
Makalu bez powodzenia (D. Scott)	64
Spotkanie z Pamirem (D. Miodowicz-Wolf i A. Machnik)	65
Na północnej ścianie Piku Kommunizma (A. Machnik)	66
W pionowym świecie Yosemite (K. Żurek)	68
Próba obiektywizacji skały trudności (P. Wojtek)	70
O rolę Grupy Syfonów w taternictwie (J. A. Szczepański)	71
Działacze ST AZS Kraków (A. Chwaczeński)	73
Jadwiga Pierzchałanka (Z. Stecka)	74
Odkrycia w jaskiniach tatrzańskich (M. Napierała)	75
Ponownie w najgłębszej jaskini świata (A. Ciszewski)	77
Istniał czy nie istniał? (J. Wala)	77
Umieć przeżyć (H. Sławińska)	78
Co nowego w Tatrach	79
Nowe drogi w Tatrach	81
Wyprawy w góry egzotyczne	82
Różne góry, różne lata	84
Więści organizacyjne	87
Notatnik górski	88
Chrońmy przyrodę gór	89
Wypadki i ratownictwo	90
Pożegnania	91
Ekwipunek	92
Nowinki spod ziemi	93
Alpinizm i kultura	94
Drobiazgi historyczne	94
Z naszej poczty	95

Zdjęcie obok: Z wyprawy na Rakaposhi (zob. s. 56) — drugie pole lodowe.

Fot. Ryszard Kowalewski

Na okładce: Pod Uszbą w roku 1975 — wspina się Piotr Młotecki.

Fot. Lech Charewicz

WŁODZIMIERZ ZIELIŃSKI

Zanim będzie za późno...

Od dłuższego już czasu dostrzegany jest fakt nasilania się w szybkim tempie ruchu pojazdów samochodowych na szosie prowadzącej w kierunku Morskiego Oka. Codziennym widokiem stał się długi rząd samochodów przed przejściem granicznym na Łysej Polanie, a także stłoczenie pojazdów na parkingach na Włosienicy i przy Wodogrzmotach Mickiewicza. W okresach szczytu wystarczy postać kilkanaście minut przy szosie, aby odczuć zawroty głowy spowodowane spalinami oraz hałasem wywołanym przez samochody. Nasuwa się pytanie: w jakim stopniu ten intensywny ruch wpływa na środowisko naturalne?

Uprawiając od lat taternictwo i alpinizm (jestem członkiem KW Bydgoszcz), postanowiłem przeprowadzić leżące w zasięgu mojej specjalności naukowej badania w tym zakresie. Wykorzystując sprzyjającą atmosferę panującą w Zakładzie Botaniki IR ATR w Bydgoszczy, a szczególnie poparcie kierownika Zakładu, dra Franciszka Klimasa, miłośnika i znawcy przyrody tatrzańskiej, wykonałem — za zgodą TPN — analizy pozwalające określić wielkość i obszar skażenia ołowiem ze spalin samochodowych terenów przylegających do tej szosy. Podobne badania były też prowadzone w Tatrach Słowackich (por. T. 3/30 „Chrońmy przyrodę gór”).

Ogólnie wiadomo, że do benzyny dodawany jest czteroetyłek ołowiu jako środek przeciwstukowy, podnoszący liczbę oktanową paliwa. Związki ołowiu, wyrzucane wraz z gazami spalinowymi, powodują skażenie rosnących na poboczu drogi roślin, gleby, wody w potokach. Wykonując szczegółowe, dość skomplikowane analizy laboratoryjne próbek roślin zebranych z różnych stanowisk, można na podstawie zawartości w nich ołowiu określić zasięg skażenia gleby i flory tym metalem.

To, że ołów jest trucizną groźną zarówno dla organizmu człowieka, jak i środowiska przyrodniczego, stwierdzono już dawno. Wiadomo, że jest przyczyną chorób u ludzi, ma m. in. działanie rakotwórcze i może wywoływać trwałe zmiany w mózgu. Wysoka zawartość ołowiu w środowisku przyrodniczym doprowadzić może do zamierania pewnych ga-

tunków roślin, a nawet cofania się lasu z terenów narażonych na emisję. Konsekwencją są trwałe odkształcenia zbiorowisk roślinnych — w przypadku skażenia obszaru Tatr — unikalnych, nie spotykanych w innych regionach kraju.

Analizom poddałem kilka gatunków roślin, zebranych w kilkunastu prostopadłych do szosy ciągach, uważając przy tym, aby warunki w jakich rosły oraz odległości od skraju drogi były takie same. Okazało się, że zawartość ołowiu w roślinach przy szosie od Głodówki do Morskiego Oka odpowiada ilościom, jakie wykryto przy najbardziej ruchliwych autostradach w Polsce! Skażenie najsilniejsze, wielokrotnie przekraczające dopuszczalne normy, można stwierdzić na odcinku od Wierch Porońca do Łysej Polany. Szczególnie duże, sięgające do 150 m od szosy, jest ono przed przejściem granicznym na Łysej Polanie. Mała przepustowość przejścia prowadzi tu do formowania się długich kolejek pojazdów, a wielokrotne ruszanie i hamowanie oraz praca silników na jałowym biegu wywołuje zwiększoną emisję spalin, co w konsekwencji prowadzi do tak rozległego zatrucia terenu. Natomiast za przejściem granicznym, w kierunku Palenicy Białczańskiej wykryłem w roślinach znacznie mniej ołowiu. Równie drastyczna sytuacja panuje w otoczeniu parkingów. Najsilniej skażony teren znajduje się w sąsiedztwie końcowego postoju na Włosienicy, gdzie 200-metrowa strefa od skraju tego parkingu, przyjęta do oznaczenia spadku wartości ołowiu w roślinach, okazała się zbyt wąska. Nie przypuszczałem, że skażenie na tym terenie ma tak wielki zasięg i wysokość. W odległości 200 m kształtuje się podobnie, jak w odległości 10 m od skraju najbardziej ruchliwych dróg w kraju. Wytłumaczyć to można niezwykle silną emisją spalin na skutek zwiększonego czasu pracy silników na postoju. Nie można nie dodać, że na obszarze tej strefy wzmoczonego zatrucia leży obozowisko Szałasiska! Nasuwa się pytanie, czy tak intensywne wytwarzanie spalin może prowadzić do skażenia terenów oddalonych od parkingu. Nadmienię, że około 80% cząstek wytworzonych w trakcie spalania etyliny, za-

wierających związki ołowiu, ma średnicę mniejszą od 1 mikrometra i pozostaje przeciętnie przez 30 dni w powietrzu w postaci aerozolu.

Nie trudno przewidzieć, że czas ten wystarczy, aby przy wietrze * przenieść związki ołowiu



Dwadzieścia lat temu samochody i autobusy dojeżdżały do samego Morskiego Oka. Oto placyk przed Starym Schroniskiem w r. 1962.

Fot. Józef Nyka

wiu na znaczną odległość. By przekonać się, czy spaliny znad Włosienicy przemieszczają się wzdłuż Doliny Rybiego Potoku, przeprowadziłem podobne analizy w okolicy samego Morskiego Oka, a więc na terenie, gdzie ruch pojazdów od ok. 20 lat praktycznie nie istnieje. Okazało się, że na obszarze tym występuje również wysoka zawartość ołowiu w roślinach. Mało wyraźne zróżnicowanie jego poziomu w zależności od miejsca pobrania prób wskazuje na brak jakiegoś konkretnego źródła skażenia. Prawdopodobnie spaliny przenoszone są znad parkingu i osadzone mniej więcej równomiernie w całym Kotle Morskiego Oka. Brak wysokiego zadrzewienia na tym obszarze (piętro kosodrzewiny) sprzyja rozprzestrzenianiu się spalin. Również otoczenie Wodogrzmotów Mickiewicza i Palenicy Białczańskiej jest poważnie skażone ołowiem.

Istnieją normy zawartości ołowiu w paszach i żywności, określające, czy dany produkt nadaje się do spożycia, czy też stanowi zagrożenie dla zdrowia człowieka (w przypadku pasz — pośrednio przez żywność pochodzenia zwierzęcego). Porównując z nimi dane uzyskane z moich badań stwierdzić muszę, że wypas owiec i bydła, jak i zbiór siana na Głodówce i Lysej Polanie nie powinien odbywać się w odległości mniejszej, niż 100 m od skraju drogi. Owoce borówki czarnej, zebrane w strefie do 200 m od szosy, mogą stanowić po spożyciu w większej ilości zagrożenie dla zdrowia człowieka.

Ołów ** dostający się do środowiska kumuluje się w glebie i roślinach i nie ulega dalszemu przemieszczaniu w głąb ziemi. Każdy następny sezon, w którym — jak można zauważyć — ruch samochodowy w kierunku Morskiego Oka znów wzrośnie, powiększy ilość tego toksycznego pierwiastka w bezpośrednim otoczeniu szosy, jak i na terenie od niej oddalonym. Najwyższy czas, aby zastanowić się, do czego taki stan doprowadzi. Już obecnie w Dolinie Rybiego Potoku dostrzec można poważne zmiany ekologiczne, spowodowane działalnością toksycznych spalin. Może się wkrótce okazać, że rejon ten zostanie bezpowrotnie stracony dla człowieka — bez możliwości przywrócenia ponownie równowagi biologicznej. Całkowite wstrzymanie ruchu samochodowego powyżej Lysej Polany, a w kolejnym etapie przeniesienie przejścia granicznego w rejon Jurgowa — to najpilniejsze z nasuwających się wniosków.

PRZYPISY REDAKCJI

* Wydaje się, iż w pozbawionej poprzecznego przewiewu dolinie prace tę mogą wykonywać wstępujące prądy termiczne, te same, które latem wynoszą nad Morskie Oko i Czarny Staw tysiące motyli-bielinków, nota bene ostatnio jakby mniej licznych.

** Autor ograniczył swe badania do ołowiu, trzeba jednak pamiętać, że w grę wchodzi też liczne inne toksyczne substancje, jak np. cynk czy — szczególnie szkodliwy dla zdrowia kadm, emitowany przez motory dieslowskie.

POŁUDNIOWA ŚCIANA ANNAPURNY

W połowie czerwca powróciła do kraju himalajska wyprawa KW Zakopane i GT GOPR (Ryszard Szafirski — kierownik, Maciej Berbek, Ryszard Gajewski, Zdzisław Kiszela, Maciej Pawlikowski, Bogusław Probulski, Włodzimierz Stoiński, Lech Korniszewski — lekarz oraz Szymon Wdowiak — film). Odniosła ona wielki sukces sportowy, dokonując pierwszego przejścia środkowego filara południowej ściany Annapurny. Rozpięto przeszło 3000 m lin poręczowych, założono 5 obozów. W dniu 23 maja na środkowym szczycie Annapurny (8051 m — drugie wejście w ogóle) stanęli Maciej Berbek i Włodzimierz Probulski. Przeciętne trudności drogi oceniono na IV, maksymalne na V. Wyprawa nie używała Sierpów.

Przejście to jest najbardziej efektownym polskim osiągnięciem sportowym w Himalajach, a nowa droga — bardzo trudna technicznie i piękna pod względem przebiegu — należy do kilku najwybitniejszych w najwyższych górach świata. Dedykowano ją papieżowi Janowi Pawłowi II.

Doznania somatyczno-psychiczne podczas wspinaczki

Dlaczego się wspinamy? — Ponieważ kończąc drogę silniej odczuwamy swą vitalność, moc i kompetencję, wyżej oceniamy swe możliwości niż pod ścianą. Taką — oczywiście niepełną — odpowiedź można by dać na podstawie badań belgijskiego psychologa Luca M. Lefebvre'a. Zbadał on około stu studentów wychowania fizycznego, uczestników kilkudniowej wycieczki, w czasie której brali oni udział w rozmaitych „prowokujących, wymagających pewnej śmiałości działaniach”, takich jak przeprawa samodzielnie zbudowanymi tratwami, chodzenie po drzewach, pływanie w canoe i wspinaczka skalna.

Niestety, brak jest bliższych informacji na temat owej wspinaczki. Wiadomo, że odbywała się na około 30-metrowej ścianie, z trudnościami w połowie drogi. Uczestnicy wypełnili dwukrotnie, tuż przed wejściem w ścianę oraz zaraz po skończeniu drogi, 18-punktowy kwestionariusz. Pytania dotyczyły ogólnej vitalności, doznań o charakterze organicznym (np. „czuję się ciężki — lekki”), poczucia mocy i kontroli nad sytuacją („ufam sobie — nie ufam”), poczucia zadowolenia z siebie („jestem wartościowy — mało wartościowy”). Podobne pytania zadawano również na temat przeprawy tratwami.

Okazało się, że wśród ludzi, którzy mieli do czynienia ze skałą po raz pierwszy, bezpośrednie doświadczenie zmieniło ich postawę wobec wspinaczki na znacznie bardziej pozytywne we wszystkich badanych zakresach. Podobnie stało się z postawami wobec przeprawy tratwami. Tam jednak zmiany były znacznie mniejsze, i w rezultacie, choć początkowo wspinaczka budziła większą niechęć, pod koniec biwaku była oceniana wyżej.

Przed wejściem w ścianę dominowało uczucie „niełatwości”, połączone z poczuciem małości, słabości i nieszczeńliwości. Na wierzchołku przeważała pewność siebie wraz z poczuciem „jestem silny, wytrzymały, duży i dobry”.

Zachęcony tymi rezultatami, Lefebvre postawił sobie pytanie o doznania w trakcie wspinania. W następnych badaniach, zorganizowanych podobnie jak poprzednio, wręczał badanym rozszerzony nieco kwestionariusz trzykrotnie: przed wejściem w ścianę, tuż po trudnościach oraz po ukończeniu drogi.

Tym razem wyniki były bardziej zróżnicowane. Stwierdzono, że 1) poczucie osiągnięć i pozytywne postawy wobec skały są najsilniejsze po skończeniu drogi; 2) przyjemne

doznania organiczne są intensywne przed ścianą i na wierzchołku; w trudnościach badani objawiają wzrost napięcia, lękową koncentrację na swojej osobie i spadek zainteresowania otoczeniem; 3) poczucie satysfakcji osiąga górną pułap w czasie pokonywania trudności.

Próbując określić zespoły uczuć najbardziej charakterystyczne dla różnych etapów wspinaczki, Lefebvre stwierdza, że przed wejściem w ścianę przeważa „postawa raczej energiczna” (umiarkowane natężenie poczucia siły i entuzjazmu, kontroli nad sytuacją, dobrego samopoczucia i dobrych przeczuć). W trudnościach obserwowany jest najczęściej „zespół przesytu”, spadku vitalności (mam dość wspinania, nigdy więcej), czuję się mały i słaby, drżą mi ręce i nogi, nie lubię skały). Na wierzchołku natomiast brak jest wzorca dominującego. Pojawiają się bądź doznania typu „pewność” (czuję się bezpiecznie, jestem zadowolony i w formie, kontroluję sytuację, chcę więcej), bądź „poczucie mocy” (jestem mocny, czuję się wspaniale, nie czuję drżenia kolan i rąk, nie boję się dalszych trudności), bądź zespół „radosnej aktywności” (jestem w formie, rozluźniony, bez trudu szukam chwytów i zmieniam punkty podparcia, daleko do granic mych możliwości, chciałbym wspiąć się dalej). Początkowa energia, zredukowana w trudnościach, odradza się i zwielokrotnia w różnych formach po skończeniu drogi.

Wszystko to dotyczy doznań osób wspinających się po raz pierwszy. Porównując swoje dane z ustaleniami Csizsentmihalyi (USA), który badał wspinaczy doświadczonych, Lefebvre stwierdza, że największe podobieństwa między początkującymi i zaawansowanymi dotyczą chęci przełamania ograniczeń, doświadczenia czegoś nowego. Największe różnice zaś są związane ze źródłami wzmocnień: dla pierwszych nagrodę stanowi samo wykonanie zadania, wydobyć się ze stresowej sytuacji; dla drugich — wybranie najlepszej kombinacji ruchów, świadomość, że jest to „mistrzowski taniec na skalnej ścianie”. Tyle Lefebvre.

Jeśli pominąć kwestię małej precyzji pomiaru i wątpliwości związane z operacjonalizacją zmiennych — typowe dla większości badań psychologicznych — pozostaną dwie sprawy, które mogą tu wzbudzić najwięcej zastrzeżeń. Po pierwsze, zabawna może się wydawać wizja psychologa w ścianie, który tkwiącemu w trudnościach wspinaczowi zadaje pytania w stylu „czy chce ci się jeszcze?”. A jednak... Jeśli interesują nas doznania ludzkie w trakcie wspinaczki, nie ma in-

* L. M. Lefebvre, Somato-psychological Experiences During Rock-climbing, „International Journal of Sport Psychology”, vol. 11 (3), 1980.

nej drogi, niż badanie w czasie jej trwania. Późniejsze wspomnienia będą z całą pewnością zniekształcone. Problem byłby zresztą mniej humorystyczny, gdyby wspinaczka wyposażać w radiotelefon w kasku; wszystkie werbalizowane przez niego doznania można by wówczas rejestrować bez większych kłopotów. Po drugie, można by sądzić, że chcąc poznać doznania w czasie wspinaczki, najlepiej badać doświadczonych alpinistów, a nie ludzi przypadkowych, zapędzonych w skalki w celach eksperymentalnych. Nie jest

to takie oczywiste. Treść spostrzeżeń i wszelkich procesów poznawczych zależy bowiem w ogromnym stopniu od potrzeb, postaw, zainteresowań, wartości, wiedzy itp. Alpinizm — góry i wspinanie — jest obrośnięty tak gęstą ideologią i mitologią, że byłoby niezwykle trudno oddzielić „czyste” doznania, związane ze skalą i ruchem, od „społecznych zanieczyszczeń”. Doświadczenia studentów badanych przez Lefebvre'a są takimi w miarę czystymi doznaniem. Myślę, że większość z nas odnajduje w nich własne wspomnienia.

JERZY HAJDUKIEWICZ

Alpejskie czterotysięczniki

Mój kontakt z Alpami datuje się od 1942 roku. Początkowo nie myślałem o wejściu na wszystkie czterotysięczniki. Pociągały mnie wielkie ściany lodowe, ale po pierwszym zimowym przejściu północnej ściany Dent d'Hérrens w 1964 r. — miałem wówczas 45 lat, a okres „burzy i naporu” był już poza mną — myśl ta zaświtała mi w głowie. Miałem wtedy 26 czterotysięczników i stwierdziłem, że warto zastanowić się nad pełną kolekcją. Zacząłem więc studiować literaturę i od razu natrafiłem na kolosalne rozbieżności: Blodig wylicza ich 68, Brand 82, Dumlér 61, Hiebeler 60, a znalazło się nawet zestawienie obejmujące 92 szczyty tej klasy.

Osobiście przychyliam się do zdania Conradina Steinera, byłego sekretarza KC SAC, że w rachubę wchodzi tylko najwyższy punkt danej góry, a nie jej niższe, drugorzędne wierzchołki. Dla przykładu uwzględniam jedynie Breithorn (4165), nie wpisując na listę dalszych wierzchołków, jak Mittelgipfel

(4160), Ostgipfel (4141), P 4105 czy Schwarzfliuh (4075), mimo że odległość między Westgipfel a Schwarzfliuh wynosi 2,7 km. W masywie Aiguille Verte uwzględniam tylko szczyt główny (4121), a w masywie Grandes Jorasses — Pointe Walker (4208). Jest to jedyna i w pełni konsekwentna linia postępowania, zwłaszcza ze względu na kontrowersyjność w grupie Mont Blanc, z jej drugorzędnymi wierzchołkami (Aiguille du Jardin, Grande Rocheuse), turniami (Pointe Eveline, Aiguilles du Diable) czy też wzniesieniami lub kopułami w opadającej grani (Dôme du Gouter, Punta Luigi Amadeo itp.).

W rezultacie takiej selekcji, od Piz Bernina po Barre des Ecrins mamy 57 samodzielnych szczytów czterotysięcznych: 1 w grupie Berniny, 9 w Alpach Berneńskich, 34 w Wallis, 11 w grupie Mont Blanc, 1 w Alpach Graickich i 1 w Delfinacie. Najbliższy tej liczby jest wykaz Hiebelera — 60. Gdy w korespondencji z nim zakwestionowałem „samodzielność” Aiguille du Jardin, Grande Rocheuse i Mont Brouillard — Toni odpisał mi: „Deine Bemerkungen über die Viertausender-Punkte sind absolut richtig. Vielen Dank.” Sumując wszystkie zmierzone i nazwane punkty czterotysięczne doszedłem do liczby 101.

Pierwszym, kto wszedł na wszystkie czterotysięczniki Alp był okulista dr Karl Blodig (1859—1956), zamieszkały w Bregenz nad Jeziorem Bodeńskim. Swą kolekcję zebrał on w latach 1880—1911. Nie wiem, ilu alpinistów — kilkunastu czy tylko kilku — ma obecnie w swym dorobku pełny komplet, ale wiem, jak kolosalnym handicapem jest fakt, że — mieszkającego w Zakopanem — dzieli mnie od Zermatt 1300 a od Chamonix 1700 km odległości.

Aby zamknąć osobistą statystykę dodam jeszcze, że na Aiguille Rochefort byłem 4 razy, na Piramide Vincent i na Mönchu 3 razy, na Fiescherhornie, Dufourspitze, Dent d'Hérrens i Mont Blanc 2 razy — łącznie 14 wejść. Zwiedziłem też 13 nazwanych punktów, które nie są samodzielnymi czterotysięcznikami. A więc w sumie: 57 + 14 + 13 = 84 wejścia.

Jerzy Hajdukiewicz na Hali Gąsienicowej. W tle północno-zachodnie żebro Zadniego Granatu, jego pierwszy problem z r. 1938 (tzw. filar Staszla).

Fot. Maciej Gąsienica



Najdłuższa przerwa w mej działalności alpinistycznej, to lata od 1948—1956, a potem 4 wyprawy w Himalaje i Hindukusz. Dwa razy wracałem z Alp z pustymi rękami z powodu niepogody.

Alpy nauczyły mnie wiele rozumu — alpinistycznego i tego w szerszym pojęciu słowa. Poznałem tam wielu wspaniałych ludzi od robotników — po generałów i profesorów. Nauczyłem się od nich wiele, bo chciałem się nauczyć, i jestem im za to wdzięczny. Wielu z nich dziś już nie żyje. Wdzięczny jestem też partnerom moich wejść, gdyż bez nich cel nigdy nie zostałby osiągnięty. Była to pomoc serdeczna i nieodzowna. Czy chciałbym, wejść jeszcze kiedyś na jakiś alpejski czterotysięcznik? Tak — na wszystkie! Lubię Alpy i czuję się w nich dobrze, jak w domu. To moja druga ojczyzna.

Chronologia wejść

Skróty nazw grup górskich: AB — Alpy Berneńskie, AG — Alpy Graickie, MB — grupa Mont Blanc, W — Wallis (Alpy Wallijskie).

1. Piz Bernina 4049 m Bernina 16 VIII 1942
2. Gross Grünhorn 4043 m AB 25 IV 1943
3. Jungfrau 4158 m AB 26 IV 1943
4. Mönch 4049 m AB 27 IV 1943
5. Weisshorn 4505 m W 15 VIII 1943
6. Dent Blanche 4356 m W 1 VIII 1943
7. Matterhorn 4477 m W 6 IX 1943
8. Strahlhorn 4190 m W 31 III 1945
9. Alphubel 4206 m W 1 IV 1945
10. Allalinhorn 4027 m W 1 IV 1945
11. Rimpfischhorn 4199 m W 2 IV 1945
12. Dufourspitze (Monte Rosa) 4634 m W 5 IV 1945
13. Dent d'Hérens 4171 m W 17 VII 1945
14. Lyskamm 4527 m W 20 VII 1945
15. Gross Fiescherhorn 4049 m AB 20 IV 1946
16. Hinter Fiescherhorn 4025 m AB 20 IV 1946
17. Finsteraarhorn 4274 m AB 21 IV 1946
18. Mont Blanc 4807 m MB 24 VI 1947
19. Mont Maudit 4465 m MB 24 VII 1947
20. Mont Blanc du Tacul 4248 m MB 24 VII 1947
21. Aig. du Bionassay 4052 m MB 4 VIII 1947
22. Aig. du Rochefort 4001 m MB 13 VIII 1947
23. Dent du Geant 4013 m MB 13 VIII 1947
24. Schreckhorn 4078 m AB 29 VIII 1961
25. Lauteraarhorn 4042 m AB 1 IX 1962
26. Breithorn 4165 m W 23 II 1964
27. Signalkuppe (Monte Rosa) 4556 m W 20 VII 1945
28. Weissmies 4023 m W 26 VIII 1946
29. Lagginhorn 4010 m W 27 VIII 1946

RYSZARD W. SCHRAMM

Spitsbergen 1980 — na morzu i w górach

W połowie lipca 1980 r. wyruszyła z Isfjordu na 3 łodziach z przyczepnymi silnikami wyprawa Klubu Polarnego PTG i Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, kierowana przez Ryszarda W. Schramma. Udział w wyprawie brali alpinści: Piotr Bittner i Tomasz Schramm (KW Poznań), Mirosław Kuraś (KW Bielsko-Biała), Krzysztof Zubeł (KW Warszawa) i Stanisław Siedlecki. Lekarzem był Tomasz Hryniewiecki z Poznania.

30. Nadelhorn 4327 m W 7 IX 1946
31. Gran Paradiso 4061 m AG 9 IX 1946
32. Aletschhorn 4195 m AB 1 VIII 1967
33. Stecknadelhorn 4242 m W 8 VIII 1967
34. Hochberghorn 4219 m W 8 VIII 1967
35. Täschhorn 4491 m W 14 VIII 1967
36. Bishorn 4159 m W 16 VIII 1968
37. Piramide Vincent (Monte Rosa) 4212 m W 20 VIII 1968
38. Corno Nero (Monte Rosa) 4322 m W 20 VIII 1968
39. Ludwigshöhe (Monte Rosa) 4341 m W 20 VIII 1968
40. Zumsteinspitze (Monte Rosa) 4563 m W 21 VIII 1968
41. Parrotspitze (Monte Rosa) 4436 m W 21 VIII 1968
42. Castor 4226 m W 1 VII 1973
43. Pollux 4091 m W 2 VII 1973
44. Punta Giordani 4045 m W 5 VI 1974
45. Dom 4545 m W 15 VI 1974
46. Dürrenhorn 4035 m W 26 VI 1974
47. Nordend (Monte Rosa) 4609 m W VIII 1974
48. Zinalrothorn 4221 m W 29 VII 1975
49. Grand Combin 4314 m W 2 VIII 1975
50. Obergabelhorn 4063 m W 6 VIII 1975
51. Lenzspitze 4294 m W 15 VIII 1976
52. Grandes Jorasses Pointe Walker 4208 m MB 22 VIII 1976
53. Aig. Verte 4121 m MB 22 VII 1978
54. Les Droites 4000 m MB 24 VII 1979
55. Dome du Rochefort 4015 m MB 29 VII 1979
56. Aig. Blanche de Peuterey 4112 m MB 17 VIII 1979
57. Barre des Ecrins 4101 m Delfinat 19 VII 1930

Moimi najczęstszymi partnerami byli: Leon Cotadze, Helena Hajdukiewicz (13 wejść), Zbigniew Hegerle, Stanisław Hirsch, Zbigniew Jabłoński, Zdzisław Jakubowski, Edward Miranowski (8 wejść), Jan Gąsienica Roj (8 wejść), Maciej Mischke (10 wejść), Józef Olszewski, Józef Płotkowiak, Stefania Pych-Hajdukiewicz (13 wejść), Stanisław Siedlecki i Jan Staszal.

Literatura

Blodig Karl: Die Viertausender der Alpen, II wyd. München 1928;

Blodig Karl i Dumler Helmut: Die Viertausender der Alpen, II wyd. München. 1968;

Hiebeler Toni: Lexikon der Alpen, Gütersloh 1977;

Macder Herbert: Die Berge der Schweiz, Olten 1967;

Walter Pause i Franz Thorbecke: Die Alpen mit Adlerraugen, Seebrück am Chiemsee 1967;

Steiner Conradin: Anzahl der Viertausender-Gipfel auf Schweizer Gebiet, „Die Alpen“ 10/1975.

do Austfjordnesshytta, gdzie zatrzymano się na okres od 1 do 9 września — m. in. dla działalności alpinistycznej w Górach Atomowych.

Po wyjątkowo złym sierpniu zapanowała ładna mroźna pogoda, przeplatana mgłami i niewielkimi opadami śniegu. Całe góry były skute pancierzem szklatego lodu. Działalność skupiono głównie wokół *Einsteinfjellet*, którego ponad 600-metrowy północny filar jest najbardziej znanym, choć nie największym problemem Gór Atomowych. Już w nocy z 1 na 2 września M. Kuraś wszedł samotnie od zachodu na zachodni wierzchołek *Rutherfordfjellet* (1340 m, II wejście), stąd zaś kalotą lodową na wschodni wierzchołek (I wejście). Po zejściu na Lodowiec Schrödingera wszedł nową drogą lodowym żełbem od północy na *Grössfjellet* (ok. 1330 m, II wejście). W tym samym czasie P. Bittner wszedł samotnie lodowym żełbem północnej ściany *Einsteinfjellet*, na lewo od filara, na najwyższą przełączkę w postrzępionej grani, skąd zszedł na lodowiec Sandre. 2 września P. Bittner i M. Kuraś podeszli przez Reinbukkdalen pod zakończenie dziewiczej ok. 8-kilometrowej północnej grani *Perriertoppen* i przeszli nią we mgle przez wzniesienia 1173 i 1504 m, częściowo lodowymi koniami, do szczytu ok. 1600 m (nr 6 na mapce na okładce T. 1/78), zdobytego w r. 1977 przez R. W. i T. Schrammów, i ich trasą weszli na *Perriertoppen* (1717 m, VI wejście). Stąd zeszli lodowym stokiem ok. 900 m na przełęcz na wschód i z niej na lodowiec Tryggve. Powrócili 3 września wieczorem do Austfjordnesshytta — po 27 godzinach drogi i przebyciu ok. 52 km (!). Było to pierwsze trawersowanie najwyższego masywu Gór Atomowych.

ALEKSANDER LWOW

Krym 1980 — czas skończyć z improwizacją

W dniach od 15 do 22 października 1980 r. odbyły się na Krymie III Międzynarodowe Zawody Wspinaczkowe. Oprócz reprezentacji ZSRR wystąpiły zespoły z Japonii, NRD, RFN, Rumunii, Słowacji i Szwajcarii, a poza konkursem — także Ukrainy. W skład ekipy polskiej weszli: Krzysztof Czarnecki, Stanisław Handl, Władysław Janowski oraz Aleksander Lwow (kierownik). Sportowy kalendarz imprezy był następujący:

17 października — oficjalny trening na skałach w okolicy Simieiz;

18 października — eliminacja w konkurencji indywidualnej;

19 października — wspinaczka zespołowa (donbajska);

20 października — finał konkurencji indywidualnej.

4 września R. W. i T. Schrammowie wyruszywszy z namiotu na Sandrebreen dokonali pierwszego wejścia na południowo-wschodni wierzchołek *Bohrryggen* (ok. 1280 m) — właściwie dwa równej wysokości wierzchołki, odległe od siebie o ok. 400 m, a następnego dnia — drugiego wejścia na *Thomsonryggen* (1374 m). 6 września P. Bittner i M. Kuraś spędzili cały dzień na rekonesansie na filarze Einsteina. 7 września J. Fasting oraz R. W. i T. Schrammowie przeszli łatwą lecz długą północno-zachodnią grzędę *Einsteinfjellet* aż do spiętrzenia nad przełączką na prawo od kulminacji filara. W następnym dniu przełączkę tę osiągnęli od północy lodowym żełbem M. Kuraś i K. Zubek, by skalną granią wejść na spiętrzenie filara i dalej granią na północny wierzchołek *Einsteinfjellet* (ok. 1280 m, I wejście). W czasie tego wejścia M. Kuraś uległ kontuzji (pęknięcie dwóch żeber).

10 września wyprawa przeniosła się do Overgangshytta u czoła lodowca Mittag-Leffler, skąd — w warunkach już pełnej zimy — ewakuowała się częściowo pieszo, częściowo helikopterami, do Piramidy i dalej do kraju (15—18 września).

W trakcie poruszania się wzdłuż wybrzeży Spitsbergenu dokonano jeszcze 2 wejść. Z Bjørnbukta (Sørgatet) w nocy z 28 na 29 lipca P. Bittner, J. Fasting i M. Kuraś weszli od północy lodowym żełbem a następnie skalną granią na *Reuschfjellet* (ponad 600 m), a 19 sierpnia M. Kuraś, startując z Krosspynten (Wijdefjord), wszedł samotnie na lodowy wierzchołek *Besseryggen* (1120 m — prawdopodobnie I wejście).

Wyprawa przepłynęła łącznie wzdłuż wybrzeży Spitsbergenu przeszło 1300 km, a jej uczestnicy przebyli trasy pieszo o łącznej długości ok. 500 km.

Do wyjazdu naszej ekipy doszło niemal w ostatniej chwili, gdyż zaproszenie nadesłane przez Federację Alpinizmu ZSRR „zaginięło” w Krakowie. Składu nie można było zestawić w oparciu o aktualny poziom sportowy, bowiem w ostatnim czasie zabrakło jakichkolwiek zawodów krajowych. Pozostające do wyjazdu 2 tygodnie poświęciliśmy na trening w kamieniołomach strzeblwskich i Sokolikach. W ramach oficjalnego treningu przed zawodami, każdemu zawodnikowi organizatorzy umożliwili przejście drogi eliminacyjnej. Została ona wytyczona na skale Koszka i miała następujące parametry: długość 91 m, wysokość 55 m, średnie nachylenie ściany 80°, długość zjazdu 36 m, trudności V, miejscami V+. W eliminacji wystąpiło 28 zawodników. Sześć pierwszych miejsc obsadzili Rosjanie (3 poza konkursem). Najlepszy czas uzyskał S. Kaio-

szyn — 2.47,8 i 120 punktów, szósty S. Bierszow (poza konkursem) miał 3.37,0 i 111,2 punktów. W klasyfikacji oficjalnej miejscami od 4 do 8 podzielili się Polacy i Słowacy. Czwarte i piąte — *ex aequo* — z czasem 5.00,0 (96,36 p.) zajęli A. Lwow i St. Gledura, szósty był P. Valovič (5.08,1), siódmy M. Marek (5.35,2), ósmy St. Handl (5.42,2). Jak widać różnice dosłownie sekundowe. Zgodnie z regulaminem (zaginionym w Krakowie) w skład każdej ekipy miał wchodzić trener (czytaj: działacz) oraz 3 zawodników. Nasz zespół składał się z 4 wspinaczy, powstała więc przykra sytuacja, w której trzeba było zdecydować, kto wystartuje poza konkursem. Ostatecznie więc W. Janowski uplasował się na miejscu 15 a K. Czarnecki (poza konkursem) na 16. Konkurencję ukończyło 24 uczestników, do finału dopuszczono pierwszych 15.

Wspinaczka zespołowa została rozegrana w systemie „donbajskim” na Skale Kastropolskiej, na drodze o długości 68 m i wysokości 47 m (średnie nachylenie ściany 85°, zjazd 45 m, wahadło linowe 11 m, trudności V—VI, odcinki hakowe). Niestety, pozbawieni informacji regulaminowych, przed wyjazdem trenowaliśmy do konkurencji tzw. krymskiej, która od „donbajskiej” różni się zasadniczo. Nie wdając się w szczegóły, wspinaczka „donbajska” polega głównie na manipulacjach sprzętowych, co wymaga specyficznego wyposażenia oraz licznych „patentów”. Wspinaczka „krymska” jest bardziej zbliżona do zwykłej. Mimo starań kolegów radzieckich, nie udało się nam odpowiednio wyekwipować do tej konkurencji, a wypożyczony sprzęt nie zawsze pasował do naszych sylwetek. W konkurencji zespołowej wystąpili St. Handl i A. Lwow, zajmując ostatecznie 4 miejsce — za ZSRR, CSRS i... Japonia. Wystartowało 9 zespołów z czego 2 odpadły od ściany. O punktacji zespołowej decydowały wyniki uzyskane w eliminacjach indywidualnych i „donbajskich swiżkach”. Tak więc: I miejsce zdobyła drużyna ZSRR (471 p.), II — CSRS (381 p.), III — Japonia (315 p.), IV — Polska (314 p.). Dalej szły Rumunia, RFN, Szwajcaria i NRD. Trzecie miejsce utraciliśmy jednym punktem, wbrew oczekiwaniom własnym i gospodarzy.

Finał wspinaczki indywidualnej rozegrano również na Skale Kastropolskiej, na drodze o długości 110 m i wysokości 80 m (zjazd 30 m, średnie nachylenie 80°, trudności V—VI). Wystąpiło 18 osób, z czego sklasyfikowano 13. Tym razem najlepszy był W. Baljezin (5.35,4 i 120 p.). Dalsze 4 miejsca obsadzili również Rosjanie, a najgorszy z nich, S. Bierszow, uzyskał czas 8.33,6 (104,06 p. — poza konkursem). W klasyfikacji oficjalnej czwarty był P. Valovič (11,36,7 i 87,68 p.), piąty St. Handl (13.26,2 i 77,89 p.). Lwow wskutek skurczu mięśnia musiał przerwać wspinaczkę. W klasyfikacji tzw. dwuboju, do której wliczano rezultaty uzyskane w finale indywidualnym i w zawodach zespołowych, St. Handl zajął 6 miejsce — za W. Baljezinem (ZSRR), A. Djominem (ZSRR), P. Valovičem



Od lewej: Czarnecki, Lwow, Handl i Janowski. W tle ściana Koszka z drogą eliminacji indywidualnych. Dolny odcinek — ok. 16 m — niewidoczny.

Fot. Aleksander Lwow

(CSRS), K. Hinotani (Japonia) i A. Nisimura (Japonia). Występ nasz poziomem nie odbiegał od poprzednich (Picunda 1976 i Jałta 1978). Jak zwykle, Rosjanie byli poza wszelką konkurencją.

Wyniki uzyskane przez nas, chociaż stosunkowo dobre, leżały znacznie poniżej naszych realnych możliwości i ambicji. Przegraliśmy z Japończykami 1 punktem, mimo że byliśmy od nich szybsi, o czym świadczą wyniki zawodów indywidualnych. Zdecydował sprzęt. Prawdę powiedziawszy, Japończycy sprawili największą niespodziankę. W latach ubiegłych z trudem przechodzili wyznaczone trasy, tym razem wspinali się dobrze i szybko. W ich kraju *skatolazanie* gwałtownie się rozwija i zyskuje ogromną popularność. Oczekiwaliśmy, że w grupie gości jedyną nacją, mogącą odebrać nam pierwsze miejsce, będą Słowacy, reprezentujący styl i poziom podobny do naszego. Pierwszy dzień zawodów potwierdził to. Później okazało się jednak, że nasi sąsiedzi mają więcej rutyny i doświadczenia, zdobywanego na licznych zawodach, w jakich biorą udział.

Główny wniosek, z jakim opuszczaliśmy Krym był ten, że najwyższy czas, by poważnie zająć się w Polsce zawodami skałkowymi

mi (por. T. 1/81 s. 19). Jak się okazuje, do uprawiania tego sportu nie trzeba mieć żadnych nadzwyczajnych warunków fizycznych. Przeciętny radziecki „mistrz skały” ma 165—170 cm wzrostu, jest bardzo lekki i pozbawiony wybitnej muskulatury. Tajemnicą tkwi w idealnej technice (nogi!), dużej wytrzymałości i doskonałej płynności ruchu. Mamy grupę osób gotowych do regularnego treningu. Trzeba tylko stworzyć coś w rodzaju kadry skalkowej, by powstała konieczna motywacja do systematycznego wspinania. Z grona osób zarejestrowanych jako „kadra”, drogą eliminacji zestawiałoby się składy reprezentacji na zawody. W chwili obecnej zaproszenia do udziału w imprezach organizowanych w krajach sąsiednich z reguły nie

są wykorzystywane. Trzeba regularnie organizować zawody krajowe, w oparciu o zasady i wzory radzieckie. Tworzenie nowych zasad i regulaminów byłoby „wyważaniem otwartych drzwi”. Koszty, jakie pociągnęłyby za sobą wyżej proponowana działalność, są bardzo małe. Chodzi o niewielkie ilości sprzętu, głównie lin, o 2 lub 3 obozy treningowo-eliminacyjne, o jednolite dresy dla wyjeżdżających na zawody międzynarodowe itp.

Korzystny wpływ sportu skalkowego na ogólny poziom wspinaczy jest dziś niepodważalny. Wszak spotyka się dobrych alpinistów będących słabymi skałolazami, ale dobry skałolaz bywa z reguły również dobrym alpinistą.

RYSZARD KOWALEWSKI

Rakaposhi 7788

Organizację polsko-pakistańskiej wyprawy na Rakaposhi los sam włożył w nasze ręce. Niespodziewanie dla mnie dowiedziałem się, że na jednym z posiedzeń Zarządu PZA zaproponowano mnie na kierownika tego przedsięwzięcia ze strony polskiej. W spadku po poprzednim organizatorze, KW Warszawa i kierowniku Januszu Kurczabie, otrzymałem spisane protokołem przez obie strony warunki realizacji wyprawy. Skonsultowałem rzecz całą w „Speleoklubie”, który był już w tym czasie uwikłany we współorganizację gdańskiej wyprawy na Dhaulagiri (T. 3/80). Na dokładkę byłem w składzie i tej imprezy! Znalazłem jednak zrozumienie wśród kolegów i entuzjastyczną chęć do pracy. Po wielu zabiegach, szczęśliwie dla mnie, miałem lekarza, dofinansowanie na zakup części sprzętu z PZA, dotacje z WKKFiT w Gdańsku i w Warszawie, pieniądze ze „Speleoklubu” a także polską część ekipy w składzie: Anna Czerwińska, Krystyna Palmowska (obie z KW Warszawa), Andrzej Bieluń, dr Jacek

Gronczewski, Ryszard Kowalewski, Tadeusz Piotrowski i Jerzy Tillak (wszyscy „Speleoklub Morski” Gdynia).

Tysiąc i jeden kłopotów

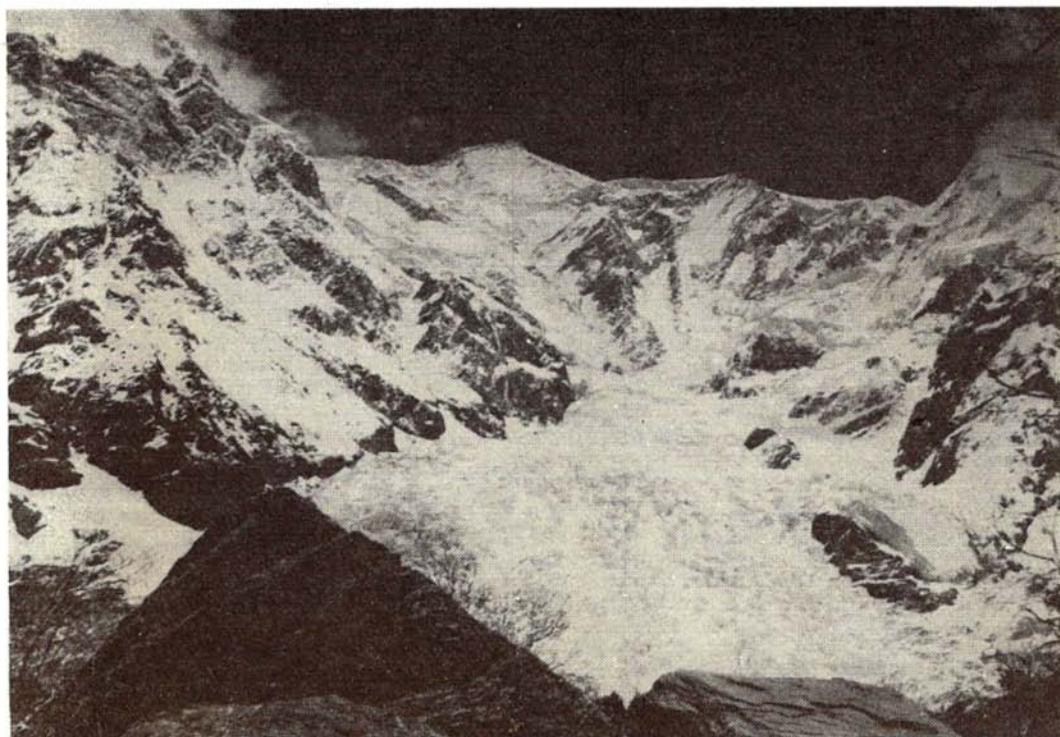
Zaczęliśmy intensywną gonitwę po urzędach, sklepach itp., aby praktycznie po miesiącu mieć w kartonach i bębnach 3250 kg sprzętu i żywności, gotowych do wysyłki z kraju. Jak dalece palił się nam grunt pod nogami niech świadczy fakt, że gdy „warszawska” część ekipy spała ostatnią noc w ciepłych łózkach, nasza „gdańska” trójka — Andrzej, Jurek i ja — spędzała ją w taxi, która za „jedne” 3500 zł wiozła nas nieprzytomnych ze zmeżenia ale z wiarą, że zdążymy na odlot. Dzięki Tadeuszowi Prugarowi, warszawskiemu szefowi Air India, sercem oddanemu alpinistom, nasz bagaż ruszył 9 maja z kraju, tym samym co i my samolotem. Jeszcze w Delhi przedstawił „Lotu” upewnił nas, że ładunki niemal razem z nami wylądują w Islamabadzie.

Pakistan przywitał nas żarem, zwariowanym zgłębkiem ulicznym, tysiącami intensywnych, nie zawsze przyjemnych zapachów i woni, kobietami, których urody mogliśmy się domyślać po stopach — jedynej nieodzianej części ich ciała. Złożyliśmy wizytę w Pakistańskim Klubie Alpejskim (ACP), w kwaterze generała Bhutta. Okazało się, że nasi kontrahenci nie są przygotowani do ruszenia w góry. Byliśmy poirytowani, bo z rozmowy wynikało, że najwcześniej za dwa tygodnie zbiorą się do kupy. To było pierwsze przykre doświadczenie — drugim był nasz bagaż, który utknął w Delhi. Na nic się nie zdały nasze interwencje — z opalów wyratował nas dopiero nieoceniony Tadeusz Prugar, śląc z Warszawy ostre w tonie i w efekcie skutecz-

Widok na Rakaposhi (7788 m) od północy. Z lewej filar północny, z prawej grań północno-zachodnią.

Fot. Tadeusz Piotrowski





Rakaposhi (7788 m) z okolic bazy. Widać szczyt, a poniżej niego krawędź lodowego plateau. W dole seraki lodowca Biro. Mapkę zamieściliśmy w T. 3/79 s. 108.

Fot. Krystyna Palmowska

ne teleksy do indyjskich i pakistańskich linii lotniczych. Po 12 dniach bagaż był z nami. Czekaliśmy jeszcze tydzień, nim wreszcie pakistańscy wojskowi zebrali się w komplecie. I choć ACP to wyłącznie wojsko, a jego członkowie stanowią zawodową kadrę, nie miało to wpływu na sprawne pokonanie organizacyjnych przeszkód. Kierownictwo całością wyprawy objął — formalnie przynajmniej — szef pakistańskiej grupy, kpt. Sher Khan.

1 czerwca dwiema wojskowymi ciężarówkami wyruszył w drogę nasz bagaż, my *wagenem* Forda. Po dobie uciążliwej jazdy serpentynami przepaścistego kanionu Indusu, ogłuszani grzmotami szalejącej burzy, dotarliśmy do Gilgit. Miejscowość ta, z pretensjami do miana kurortu, rozsiada się na zielonym płaskowyżu, przeciętym wartkim nurtem rzeki Gilgit. Zatrzymaliśmy się w mesie oficerskiej, czekając na obiecany rekonesans śmigłowcowy nad Rakaposhi, który niestety nie nastąpił.

3 czerwca po południu ruszyliśmy do wylotu doliny Jaglot. Wczesnym rankiem patrzyliśmy jak z wioski o tej samej nazwie schodzą się tragarze. Tym razem nie my musieliśmy martwić się o zorganizowanie karawany i ustalenie zapłaty: robili to pakistańczycy. Po 2 dniach karawany, 5 czerwca wieczorem, mieliśmy już bazę — z kotą 3800 m!

Bajkowa, równa jak stół polana, pośrodku

zanikający strumyk, dookoła brzoźowo-iglasty las, wielkie granitowe maliniaki, nad nami wspaniała Rakaposhi! Po naradzie z Tadkiem zapoznajemy pakistańskiego lidera, kpt. Sher Khana, z naszym planem zdobywania góry. Spośród Pakistańczyków, prócz niego jedynie Shami i Faizman mają niewielkie doświadczenie górskie, brali bowiem udział w wyprawie na Pasu Peak. Sadiki widzi góry z bliska po raz pierwszy. Wszyscy, z wyjątkiem Sher Khana, nie mają większego pojęcia o asekuracji, wiązaniu węzłów, nie mówiąc o technice wspinania w skałe czy lodzie. W takiej sytuacji możemy liczyć tylko na siebie; góra będzie wtedy nasza, jeśli ją sami zdobędziemy.

Początek drogi

Akcję zaczynamy nocą 6 czerwca. Wyruszą z Tadkiem Piotrowskim, Sher Khanem i Shamim z zamiarem założenia obozu I. Około południa docieramy pod wielką lodową bulę i kopujemy stopnie pod namioty. Sher Khan trochę pomaga, Shami ledwie zipie. Chowamy się przed słońcem do wnętrza „Turni”, na którą zaczynają spadać kamienie. Sytuacja nie ulega poprawie nawet nocą! Schodząc, mijamy transportujących sprzęt i żywność rodaków i wlokącego się za nimi Sadikiego. Tego dnia osiągnął on wszystko na

wyprawie: doczłapał do obozu I tak późno, że nie mógł już wrócić do bazy, nie miał zresztą na to szans, tak był wyczerpany. Dzięki opiece Jacka przetrwał noc, zajmując jego śpiwór i miejsce w namiocie. Do końca wyprawy był bezużyteczny, a wolny czas zużywał chyba na pakowanie: do bazy przyszedł z lekkim plecakiem, opuszczał ją z ciężkim bębniem i niewiele lżejszym worem...

Dwie kolejne noce spędzone przez naszych kolegów i panie w „jedynce” nie są mile wspomniane. Mimo zabezpieczenia namiotów z zewnątrz karimatami, kamienie podziurawiły je w kilku miejscach. 9 czerwca Anka z Krystyną, Jacek, „Szwagry” (czyli Bieluń i Tillak) oraz Pakistańczycy przenoszą obóz I pod skały, ja z Tadkiem i Sher Khanem wspinamy się 300-metrowym stromym polem lodowym, po czym zakładamy 1-namiotowy obóz przejściowy, do końca wyprawy zwany „tent one”. Nocujemy w nim, a nazajutrz po drodze do bazy, zawracamy Ankę z Krystyną. Z „jedynki” schodzą pozostali Polacy. Zdajemy sobie sprawę, że musimy zaporeczować drogę powyżej obozu pierwszego, tym bardziej, że w godzinach południowych całą szerokością lodowego pola suną lawiny. Nie dopuszczamy myśli, co by się stało, gdyby ktokolwiek z nas pośliznął się na tej szklanej polewie...

Lawina idzie!

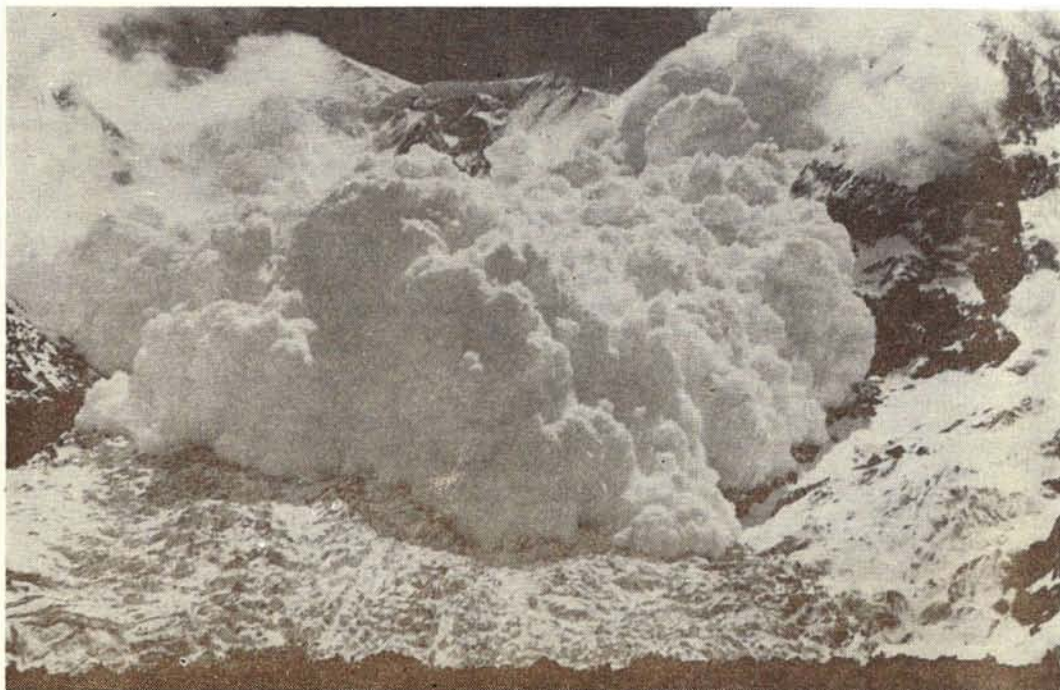
W bazie odpoczywamy do 14 czerwca. Ten dzień dostarcza nam mocnych wrażeń. Przed południem z wielkiego podszczytowego pla-

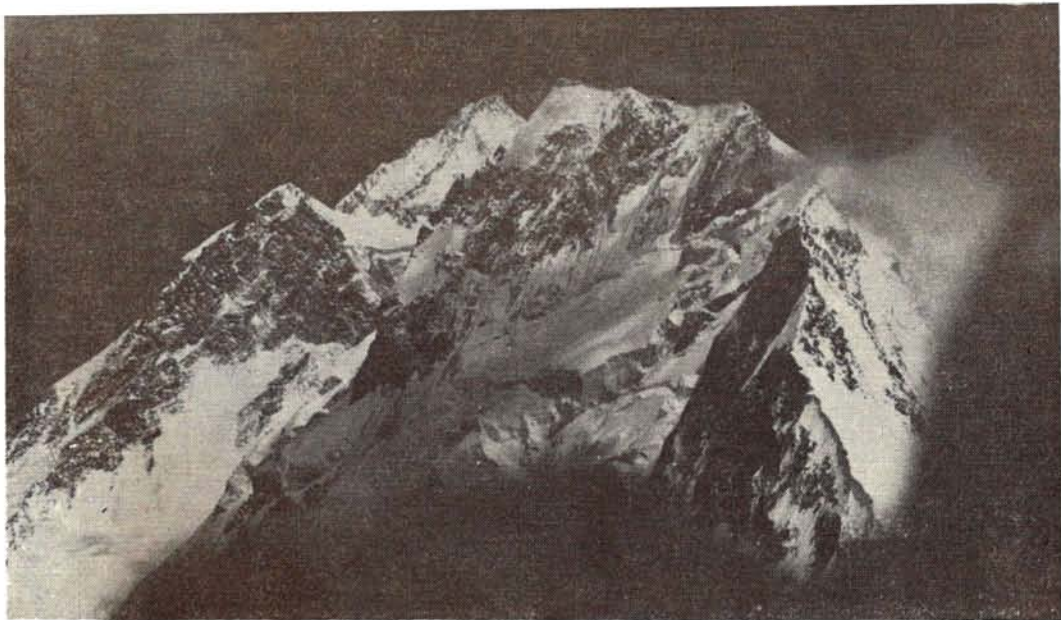
teau Rakaposhi obrywa się gigantyczna bariera seraków, spada pionowo 900 m na lodowiec Biro i sunie w naszą stronę lawiną, rozwijając się do apokaliptycznych rozmiarów. Nasza zielona polana, od szczytu oddalona o 7 km, pokrywa się 15-centymetrowej grubości warstwą śniegu. Namioty, chociaż stoją pod osłoną drzew i głązów — są połamane! Przed złowieszczą chmurą kryjemy się pod granitowe bloki, wszędzie jednak dosięga nas szaleńcza parominutowa nawałnica! To było mocne uderzenie! Od katastrofy uchroniła nas 80-metrowej wysokości morena, na której zatrzymały się setki tysięcy ton lodu. Toczac się dalej w dół wyrównał on lodowiec Biro! Lawinowa śnieżycza złapała nas roznegliżowanych, ale oblepiła śniegiem tak szczelnie, że wyglądaliśmy jak białe upiory. Ze strachu i emocji nie odczuwaliśmy jednak zimna.

15 czerwca kolejny dzień pracy zaczynają „Szwagry”. Idą poręczować drogę z obozu I do „tent one”. Poręczowanie trwa przez następne 2 dni, pierwszy na linie jest Tadeusz, który niezmordowanie prze do góry, 19 czerwca mamy na wysokości 5800 m obóz II. Namioty stają na platformach wykutych częściowo na nawisach na lodowym ostrzu grani. Miejsce nie jest w pełni bezpieczne ale za to urokliwe. Podziwiamy rozciągającą się pod nami dolinę Hunzy, pokrytą soczystą zielenią i migotliwym złotem. Za sobą mamy trasę, na której rozwiesiliśmy przeszło kilometr lin. W „dwójce” jesteśmy w całym polskim komplecie, a do towarzystwa mamy Sher Khana. Po znośnej nocy dzień witamy bez optymiz-

Lawina w dniu 14 czerwca 1979 roku.

Fot. Ryszard Kowalewski





Masyw Rakaposhi (7788 m) widziany z namiotu w obozie II.

Fot. Ryszard Kowalewski

mu. Pogoda załamuje się gwałtownie, wszyscy więc zbiegamy w stronę naszej ukwieconej polany. Odpoczywamy łudząc się nadzieją, że otrzymamy z dołu listy. Daremnie! Łącznik wraca z paroma butelkami „Hunza Water”, kiepskiego wina gronowego, robionego domowym sposobem przez hardych górali z Hunzy, wbrew surowym przykazaniom koranu.

22 czerwca Tadek ze „Szwagami” wyrusza do tent one, by następnego dnia zaporeczować 400 m powyżej „dwójki”! Z Jackiem i Sher Khanem śpimy w obozie przejściowym, nasze panie oraz pozostali Pakistańczycy w „jedyńce”. Na górę nacieramy wszyscy, szkoda tylko, że nasi śniadokórzy koledzy zostawiają po drodze mnóstwo dóbr, które trzeba po nich zbierać. Nie pozwala to dostatecznie wyposażyc „dwójki” w sprzęt i żywność.

24 czerwca w obozie drugim przybywa trzeci namiot; bawi tu cała polska siódemka, nadto Pakistańczycy Sher Khan i Faizaman. Nazajutrz trwają prace transportowe, wieczorem Tadeusz zdaje relację o nowym odcinku „powietrznej” grani i trudach wspinaczki na drugim polu lodowym, które pokonał, rąbiąc dziesiątki chwytów i stopni. „Trójkę” zakładamy 26 czerwca o zachodzie słońca, podziwiając potężny masyw Nanga Parbat, znajomą sylwetkę Shispare i majaczący na horyzoncie Tiricz Mir. Rankiem schodzą z „dwójki” Pakistańczycy i Anka, zbiega również Krystyna, korzystając z poręczówek, które rozwiesiliśmy między obozami, używając od początku akeji 3,5 km lin. Dopiero po rozpięciu ubezpieczeń i krótkim przeszkoleniu pa-

kistańskich kolegów byliśmy spokojni o ich bezpieczeństwo.

28 czerwca z Tadkiem, Jackiem, Sher Khanem — „Szerą”, jak go nazywamy — i „Szwagami” trawersujemy Nuns Head i zakładamy 60-metrowy zjazd. Stąd do obozu III wracają nasi koledzy, my z Szerą zjeżdżamy po kryształowej lodowej ścianie i dostajemy się na wielkie podszczytowe plateau, gdzie na wysokości 6500 m rozbijamy kolejny obóz IV. Po dobrej nocy ruszamy dalej w górę i ustawiamy namiot: to nasz obóz V (7000 m)! Tego dnia zyskaliśmy 600 m w pionie i wreszcie poczuliśmy, że szczyt jest w zasięgu ręki. Nazajutrz, o ósmej, wyruszamy z zamiarem wejścia ściśle zachodnią granią kopuły szczytowej, lecz po obejrzeniu jej z bliska decydujemy się na odwrót: bez skalnych haków nie ma co marzyć o pokonaniu trudności. Przy obozie spotykamy się z kolegami i razem przenosimy „piątkę” 200 m wyżej. My zostajemy w niej, „Szwagry” z Jackiem schodzą do namiotu, który opuścili rankiem.

A teraz na szczyt!

W dniu 1 lipca parę godzin zbieramy się do wyjścia, przyrządzenie ciepłego napoju na butanowej maszynie wlecze się w nieskończoność. O 10.30 pokonujemy pierwsze metry „gipsowej” wschodniej ściany kopuły szczytowej. Powoli nabieramy wysokości. Tadzka nachodzą męczące ataki kaszlu. Walczymy ze wzmagającym się lodowatym wichrem, obawiamy się nadciągających ciężkich sinoczar-nych chmur. Szczyt — 7788 m — osiągamy

parę minut po osiemnastej. Ściskamy się z Sher Khanem, robimy pamiątkowe zdjęcia z flagami Polski i Pakistanu, z najwyższą uwagą stąpamy po ostrym czubku. Na szczęście dla nas, chmury suną poniżej szczytu, możemy więc podziwiać wystające z nich wierzchołki masywu Disteghil Sar i dziewiczego Ultara, królującego nad pałacymi mira Hunzy. Dokuczliwy mróz i szybko odchodzący dzień zmuszają nas do zejścia. O godzinie 19 w „piątce” gratulują nam koledzy, poją gorącą herbatą. Ze zrozumieniem akceptują fakt, że zostaniemy z nimi na noc. W gęstniejących ciemnościach nie możemy ryzykować dalszego schodzenia.

Nie mamy jednak wpływu na decyzję Sher Khana, który wbrew ostrzeżeniom zbiega dalej, szybko znikając z naszych oczu. Z trudem w pięciu układamy się do snu w 2-osobowej „Turni”. Nie możemy zasnąć, snujemy rozważania o Sher Khanie, „grubymi” słowami oceniamy jego lekkomyślność. „Stulcie pyski — mówi Andrzej — słyszę jakieś wołanie!” Zamieniamy się w słuch. Rzeczywiście gdzieś z plateau dobiegają historyczne krzyki! Wychodzimy na zewnątrz i ryczymy w ciemność: Szera, Szera! Po dwu kwadransach pada przed namiotem wystraszony i kompletnie wyczerpany. Wciągamy go do środka. Wypijają parę łyków płynu i błyskawicznie zasypia.

O drugiej w nocy Jacek stanowczo zrywa „Szwagrów”. W dwie godziny później opuszczają namiot. Szczyt osiągnęli o 10.30! My obaj z Tadekiem schodzimy do „czwórki”, gdzie spotykamy Krystynę; Sher Khan na lekko zbiega do „dwójki”. 3 lipca Krystyna osiąga obóz V, Anka spotyka się w obozie IV ze „Szwagrami”, Jacek schodzi z nami do „trójki”, my do „dwójki”. Następnego dnia Anka dociera do Krystyny, „Szwagry” związają namiot i schodzą do obozu III, my z Jackiem osiągamy bazę, znosząc trzydziestoparokilogramowe plecaki ze sprzętem pozostawionym na całej trasie przez kolegów pakistańskich!

5 lipca, najpierw Krystyna a w godzinę po niej Anka zdobywają szczyt — w mrozie i silnym wietrze.

*

A więc mamy za sobą drugie w ogóle wejście na Rakaposhi (pierwszego dokonali w r. 1958 Michael Banks i Thomas Patey), w dodatku zrobione nową drogą, północno-zachodnią grania. Na szczycie stanęła cała polska ekipa, a także jeden Pakistańczyk, co satysfakcjonuje również naszych gospodarzy. Wejście Anki i Krystyny jest drugim co do wysokości wejściem zespołu czysto kobiecego na świecie.

7 lipca wszyscy znaleźli w bazie, która jeszcze bardziej wypiękniała. Brzozy, okryte świeżym listowiem, chroniły nas przed iście tropikalnym słońcem, morena była dywanem, nad którym unosiły się odurzające wonie urodziwych kwiatów. Przed południem przyleciał śmigłowcem prezes ACP, gen. Mirza,

przywożąc listy i parę kilogramów pysznych moreli. Rzuciliśmy się na te dary, spragnieni wieści z domów i świeżych owoców. Przyjeśliśmy szczerze gratulacje i życzenia następnym sukcesów w tutejszych górach.

10 lipca znaleźliśmy się w Gilgit. Kipieliśmy ze złości, gdy przyszło nam czekać bezczynnie 6 dni na odlot do Islamabadu. Mogliśmy byli tego uniknąć, gdyby oficer łącznikowy, kpt. Bhutta, zarezerwował dla nas bilety, o co go prosiliśmy. Czekalo nas jeszcze parę przykrych doświadczeń, ale nie wracamy do nich, wszak sukces jest tak piękny i on to ostatecznie zostanie na kartach historii alpinizmu. Syci perypetii i egzotyki Wschodu, w końcu lipca opuściliśmy Pakistan, z mocnym postanowieniem, że w Karakorum powrócimy, bo góry tu wyjątkowo piękne, a wiele dziewiczych szczytów czeka jeszcze na swoich zdobywców! Może i nam przypadnie któryś z nich w udziale?

KALENDARZ WYPRAWY

5 VI 1979 — założenie bazy (3800 m) w Darakush.

6 VI — Kowalewski, Piotrowski, Sher Khan i Shami zakładają obóz I (4900 m).

9 VI — Kowalewski, Piotrowski i Sher Khan idą z obozu I do góry, zakładając na 5350 m obóz przejściowy, zwany „tent one” i poręczując 200 m stromej ściany poniżej.

14 VI — wielka lawina uszkadza bazę (od 11 VI są w niej wszyscy uczestnicy wyprawy).

18 VI — Piotrowski, Kowalewski i Sher Khan poręczują drogę powyżej „tent one”.

19 VI — założenie obozu II na północno-zachodniej grani (5800 m, 3 namioty). Nocują w nim: Czerwińska, Palmowska, Bieluń, Kowalewski, Piotrowski, Shami, Sher Khan i Tillak.

26 VI — Piotrowski i Bieluń poręczują dalej gran i zakładają obóz III (6200 m). Dwa namioty.

28 VI — pięciu Polaków oraz Sher Khan zakładają obóz IV (6500 m), 1 namiot.

29 VI — Piotrowski, Kowalewski i Sher Khan zakładają obóz V pod końcową częścią północno-zachodniej grani (ok. 7000 m).

30 czerwca — decyzja o zmianie trasy: cała męska piątka polska wraz z Sher Khanem przenosi obóz V pod gran południowo-zachodnią.

1 VII — pierwszy zespół wchodzi na szczyt Rakaposhi (7788 m): Piotrowski, Kowalewski i Sher Khan w godz. 10.30—17.30. Do obozu V podchodzą Bieluń, Tillak i Gronczewski. Nocleg w szóstkę w 1 namiocie.

2 VII — drugie wejście szczytowe: Bieluń, Tillak i Gronczewski w godz. 5—10.30.

3 VII — Sher Khan schodzi wraz z Fajzamanem z obozu IV do bazy.

4 VII — Kowalewski, Piotrowski i Gronczewski wracają do bazy. Bieluń i Tillak związają obóz IV.

5 VII — trzeci zespół osiąga szczyt Rakaposhi: Palmowska w godz. 8.30—14; Czerwińska w godz. 8.30—15.30.

7 VII — Czerwińska i Palmowska, po noclegu w obozie III, wracają do bazy. Obozy II, I oraz „tent one” są już zwinięte.

10 VII — cała wyprawa dociera do Gilgit.

Wyciąg z opracowania Anny Czerwińskiej

Dhaulagiri 1980



Kiedy jesienią 1979 roku nie powiódł się atak Fiuta i Kurtyki na wschodnią ścianę Dhaulagiri w ramach wyprawy z Gdańska (T. 3/80 s. 105), Wojtek, jeszcze na lodowcu Mayagdi, zaczął snuć plany powrotu pod ten problem w międzynarodowym towarzystwie. Bez namysłu przyjąłem propozycję udziału w tej następnej próbie. Wojtek wziął na siebie uzyskanie zgody władz, został kilka tygodni w Katmandu i dopiął swego. Mimo wydania wcześniej zezwolenia dla wyprawy Hansa von Känela, ministerstwo zaaprobowało nasz plan — pod warunkiem jednak, że dojdziemy do porozumienia ze Szwajcarami.

W połowie grudnia wyłonił się skład. Stary znajomy Wojtka, Alex MacIntyre, zgłosił gotowość do wzięcia udziału i zaproponował jako czwartego młodego przewodnika z Chamoni, René Ghillinię, Alex jest znany polskim wspinaczom, natomiast dorobek Renego, to wiele trudnych dróg alpejskich, kilka andyjskich szczytów osiągniętych nowymi drogami, a także śmiały lot na lotni z Huascarán Sur do Yungay.

Na zorganizowanie wyprawy pozostały niecałe dwa miesiące. Większość spraw spadła na Wojtkę, który załatwiał formalności, żywność i sprzęt puchowy. Urządzeniem bazy zająłem się ja, natomiast Alex i René postarali się o gratisowy sprzęt z kilku wytwórców. Trzeba powiedzieć, że tylko dzięki determinacji Wojtka wyprawa doszła do skutku w tak krótkim terminie.

Odlot do Bombaju nastąpił 1 marca 1980 r. Odbiór bagażu, który jest ważnym momentem każdej wyprawy, nam poszedł wyjątkowo sprawnie. W oczach Alexa i Renego rozegrała się wodewilowa scena, z użyciem chóru dziewcząt, z Wojtkiem w roli głównej i przy biernym udziale nepalskiego celnika. W ciągu 2 godzin bagaże znalazły się w hotelu „Lhotse”. Była to ostatnia przeszkoda ze strony międzynarodowej biurokracji i w Katmandu czekały nas już tylko rozmowy ze Szwajcarami. Alex i René udali się w tym celu do jednego z luksusowych hoteli, gdzie występując jako reprezentanci „alpine style”, klientów biura turystycznego Eiselina potraktowali delikatnie mówiąc, protekcyjnie. Ponieważ to my mieliśmy do nich prośbę, a nie oni do nas, wynik był łatwy do przewidzenia: Szwajcarzy nie zgodzili się na naszą obecność na grani północno-wschodniej.

Do Pokhary wyjechaliśmy 18 marca, a 20 nasza mała karawana ruszyła w stronę gór. Z Tukuchoa wyruszyliśmy 26 marca. Wybór drogi przez Hidden Valley był błędem, w którym duży udział miał sirdar. Zadymki i wielkie śniegi unieruchomiły nas na tydzień w odległości jednego etapu od przełęczy Dam-push. Kiedy nastąpiła pogoda, udało się skom-

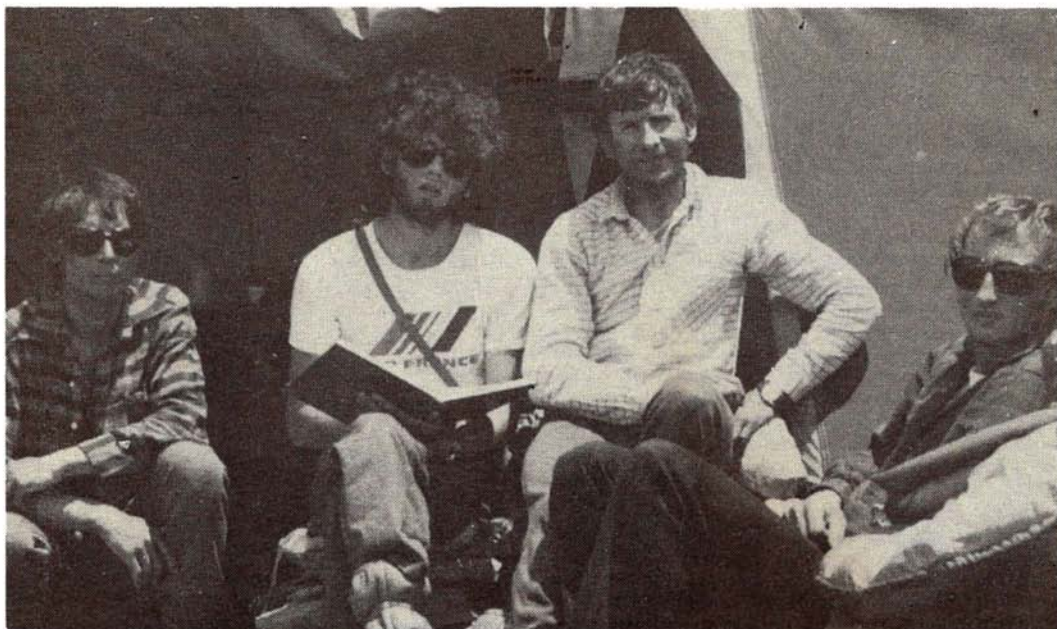
pletować karawanę, niestety złożoną ze starych cwaniaków z Tukuchoa. Etapy stały się krótsze, płace poszły w górę, a my stanęliśmy w obliczu finansowej ruiny.

Bazę założyliśmy niedaleko Szwajcarów, którzy sprawiali wrażenie zaskoczonych naszym przybyciem, zgodzili się jednak na zejście „ich” granią, a niebawem także na wejście aklimatyzacyjne. Mając jeszcze część ładunków w Hidden Valley, 8 kwietnia wyruszyliśmy z bazy i założyliśmy biwak o godzinę drogi od przełęczy. Następnego dnia rozstawiliśmy dwa lekkie namioty, które odtąd stanowiły nasze oparcie w działaniach powyżej przełęczy. Głównym założeniem naszej taktyki aklimatyzacyjnej było zachowanie świeżości na decydujący moment. Wydaje mi się, że jak w każdym sporcie, tak i w alpinizmie należy wsłuchiwać się we własny organizm, nie dopuszczając do wyczerpania się w fazie przygotowań. Staraliśmy się dużo chodzić, ale z małym obciążeniem, nie narzucając sobie przy tym sztucznych rygorów. Często biwakowaliśmy osobno, w miejscach, do których każdej z dwójek udało się dotrzeć rozsądnym nakładem sił. I tak między 20 a 29 kwietnia — mając wygodną jamę śnieżną na 6400 m — dwukrotnie wchodziliśmy granią, osiągając za pierwszym razem wysokość 7000 m, a za drugim ok. 7500 m. Tylko Wojtek dotarł do 7700 m, gdzie założył skład żywności.

Po zejściu do bazy i odpoczynku, w dniach 6-8 maja dokonaliśmy przejścia wschodniej ściany. Jej główną trudność stanowiły skłisły lód, zalegający cienką warstwą na skale o nastromieniu w dolnej części 50-55°, w górnej 55-60°.

Wschodnia...

6 maja przed drugą opuszczamy namioty na Przełęczy Północno-Wschodniej. Po ostatnich redukcjach plecaki ważą po 12 kilogramów. Pod ścianę jest blisko, jak przez staw w wiadomej dolinie. Noc cudowna, śnieg twardy i skrzypiący, plecak i podejście tatarskie. Nie sadzę jednak, by któryś z nas



Od lewej: Wojciech Kurtyka, Alex MacIntyre, Ludwik Wilczyński i Renato Ghillini
Wszystkie zdjęcia: Ludwik Wilczyński

dał się na to nabrać. Pamiętamy dokąd idziemy. Do świtu pokonujemy strome śniegi dolnej części ściany, i w ten sposób — niepostrzeżenie i jakby nieobowiązująco — zaczyna się nasza wspaniała przygoda: wschodnia ściana!

Słońce wschodzi, a my wiążemy się linami pod stromym uskokiem. Wojtek sprawnie pokonuje bardzo trudny wyciąg zalodzonej skały. Potem w lewo, na lodowe pola ciągnące się aż do końca ściany. Bez słów pakujemy liny do plecaków, czując, że stosowanie asekuracji wykończyłoby nas nieuchronnie, przedłużając czas przejścia ponad to, co jesteśmy w stanie wytrzymać. Zaczynamy pochód — milczący, bo pozbawiony dziarskich asekuracyjnych okrzyków. Na widok tego marszu gęsiego na przednich zębach raków, ogarnia mnie najpierw rozbawienie a potem strach. Później wraz z upałem przychodzi znużenie i już jako lodowy automat posuwam się do góry:

młotek!	czekan!
lewa!	prawa!
młotek	czekan!
lewa!	prawa!

Nic się nie dzieje do godziny drugiej, kiedy to zadymka zatrzymuje nas pod niewyraźnym pasem skał. Całą ścianą zsuwa się warstwa śnieżnego pyłu. Około dwóch godzin stoimy w ruchomym tumanie. Chwilami wydaje mi się, że to nie śnieg pędzi, lecz że ja z olbrzymią szybkością sunę do góry. Zaciskam wtedy ręce na czekanie, bo wiem, że sunąć mi nie wolno, obojętnie w jakim kierunku. Po ja-

kimś czasie staje się jasne, że nie jest to miejsce chwilowego postoju. Wykuwamy umiarkowanie wygodne półeczki i po dwóch, w płachtach, zasiadamy do snu. Noc jest pogodna, ale wietrzna. Ścianą znowu płynie śnieg. Małe podsumowanie dnia przed zaśnięciem przynosi kilka stwierdzeń, na których możemy oprzeć życie w naszej ścianie. Wodny lód będzie nam towarzyszył do końca, biwaki będą niewygodne, pogoda nieuchronnie załamuje się we wczesnych godzinach popołudniowych, ale nie ma zagrożenia lawinowego: cały śnieg natychmiast zjeżdża w dół po lodzie.

Ranek jest ładny i nowy dzień zaczynamy w starym rytmie. Póki nie ma wiatru, można wsluchiwać się w odgłosy naszej wspinaczki. Czterech ludzi w milczeniu łączy ku górze po zalanej słońcem tafli lodu. Głuche uderzenia czekanów, szybkie oddechy i pokasywania Renego, który idzie z niewyleczonym bronchitem. Złe zaczyna być z nogami. W czasie odpoczynków poszukuję pozycji, w której ściągną mogłyby wypocząć. Zaczynam żałować że nie wziąłem plastikowych butów, posiadających bardzo sztywny język.

Pogoda załamuje się planowo i znowu pod śnieżny prąd pniemy się w kierunku skał. Marzę o znalezieniu wygodnego miejsca na nocleg, a kończy się jak zwykle w takich wypadkach: nie można znaleźć nic. „West Block” zajął jedyne jakie takie miejsce do siedzenia, my z Wojtkiem długo znajdujemy się w stanie trawersowania i próbnych wykopów.

Chciałbym to zobaczyć wrażliwym okiem człowieka nie znającego gór, najlepiej w kinie, z dźwiękiem i w technicolorze. Dwaj ludzie na wieczornie niebieskim śniegu, na tle granatowej przepaści, omiatani uderzeniami wichury, szukają czegoś, grzebiąc w wielu miejscach czekaniami w śniegu. Niedaleko jarzy się jak węgle w ognisku czerwony worek. W środku są ludzie. Oni też widocznie chcą się lepiej urządzić, bo nagle wyciągają podobny worek, rozwieszają go, jeden wchodzi do środka, drugi podaje mu jakieś rzeczy, a cały czas coś pomrukują i gadają między sobą. Potem to wygrzebane w śniegu miejsce zawała się. Jeden wisi w worku. Obaj krzyczą, chyba klną, ale przepaść wchłania wszystko. Za chwilę znów są razem na śniegu, ruszając się szybciej, jak zaniepokojone owady.

Ostatecznie spędzamy noc osobno. Wojtek na resztkach półki, ja na trzeciego w drugiej płachcie. Jemy i pijemy mało, późno też zasypiamy. Po złym biwaku na 7000 m musi nadejść zły dzień. Rano, wyraźnie słabsi, sabotujemy w porannym słońcu zamiar wczesnego wyruszenia, co potwierdza zasadę, że przyjemność we wspinaniu kończy się najpóźniej trzeciego dnia, a często i wcześniej. Wojtek, najbardziej niecierpliwy i w najlepszej formie, rusza do góry. Wkrótce ustala się szyk na cały dzień. On wspina się pierwszy, następnie ja, trochę niżej René, a na końcu Alex. Łód w górnej części ściany jest stromszy i jakby bardziej twardy. Daje się we znaki wysokość, idziemy coraz wolniej, często odpoczywając. Ściana, w przeciwieństwie do nas, nie chce jeszcze skończyć zabawy. Wydłuża się, zwleka, wyjściowe skały przesuwają się ku górze, a ostatni odcinek wyraźnie staje dęba, wyzwalając nową jakość bólu ścięgien. Jeszcze dwieście, jeszcze sto metrów, jeszcze Alex obrywa kęsem lodu w głowę. Potem skalny kominek i jesteśmy w okolicy grani. Klucząc przepaścistymi zachodami, docieramy po ciemku do naszego składu. Wysokość 7700 m. Koniec wschodniej ściany.

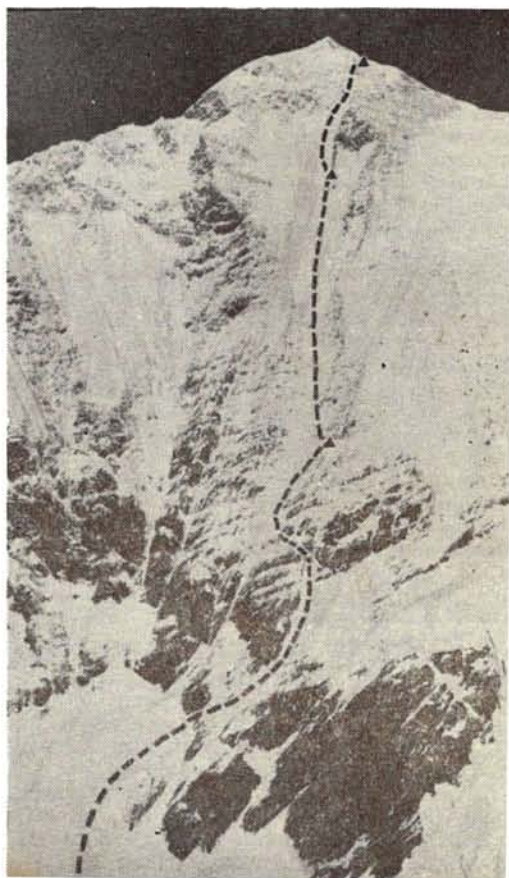
Zakładamy trzeci biwak. Wyżej jest płasko, ale nie daje się tam wytrzymać ze względu na wiatr. Zasiadamy więc znowu na skąpych półeczkach, osłonięci od zawieruchy wielkim blokiem. Nazajutrz słońce wschodzi spokojnie, niestety niebawem zaczyna się nowy opad. Mimo to próbujemy iść dalej. Pierwsze metry łatwego terenu wyjaśniają wszystko: zapadamy się do kolan, a niezbyt strome pola śnieżne czekają tylko na pretekst, aby ruszyć w dół lawiną. Gęstniejący opad rozwiewa ostatnie wątpliwości — trzeba schodzić.

Kiedy po południu docieramy do namiotów na przelęczu, nad uczuciem niezadowolenia góruje jednak radość ze zrobienia „wschodniej”. Zdołaliśmy przemknąć się z lekkimi plecakami przez wielkie himalajskie urwisko. Problem ściany został rozwiązany. Odwrót spod szczytu kwitujemy krótkim „nie dało się”. Rano następuje „wielki deser”: zjazd

na nartach do bazy. Warunki doskonałe, a taniec w świeżym puchu rozzuchwała. Mały błąd w pobliżu szczeliny przypomina, że gór się nie zwycięża. Można je tylko przechytrzyć, zakpić z grozy jaką w nas wzbudzą i wykraść dla siebie kilka chwil różniących od wszystkiego, co było przedtem. Nam się to udało. Jeszcze raz zmusiliśmy wytresowane ciała do spełnienia kolejnego górskiego kaprysu. Jeszcze raz „coś się kończy”.

Kiedy warunki uległy poprawie, postanowiliśmy nasze dzieło wykończyć i wejść na szczyt Dhaulagiri. Biwakując 16 maja na wysokości 6400 m a 17 maja na 7500 m, w dniu 18 maja około godziny 14 osiągnęliśmy wierzchołek (8167 m). Dobra dyspozycja wszystkich członków zespołu w czasie całej działalności potwierdziła słuszność przyjętych założeń taktycznych i trybu aklimatyzacji. Na szczycie stanęliśmy pomiędzy falowymi atakami Szwajcarów, co sprawi kłopot kronika-

Wschodnia ściana Dhaulagiri. Górna część w skrócie. Szczyt nie jest widoczny. Zob. też T. 2/80 s. 64.



rzom z ustaleniem kolejności wejścia „wyprawowego” (w odróżnieniu od wejść indywidualnych).

Wracając do przejścia wschodniej ściany, chciałbym ustosunkować się do sprawy asekuracji. Otóż cała chyba nasza czwórka miałyby poczucie osobistej porażki moralnej, gdyby z naszej decyzji ktokolwiek zrozumiał tylko tyle, że nie wypada się już asekurować na drogach lodowych o średnich trudnościach. Nic podobnego! Specyficzny charakter ściany sprawiał, że asekuracja pochłaniałaby mnóstwo czasu, a w efekcie była czysto iluzoryczna. Nieuchronne przedłużenie operacji o dzień lub dwa dni wniosłoby do naszej przygody realną groźbę wypadku w wyniku znużenia i narastania wyczerpania wysokościowego. Nasze postępowanie było więc wyborem mniejszego ryzyka i wynikiem technicznej kalkulacji, a nie sportowego zadufania, czy — jeszcze gorzej — beztroski.

Wyprawa, obok żartobliwego podziału na „East-” i „West Block”, była konfrontacją 20-latków z 30-latkami, dzieliła się nawet na „alpinistów” i „narciarzy”. Należąc wraz z René do tych drugich, trzykrotnie zjechałem z Przełęczy Północno-Wschodniej i to były najwspanialsze chwile relaksu w czasie całej naszej działalności. Narty ożywiają monotonię długich pobytów na lodowcach, często oszczędzają sił w zejściach i, co najważniejsze, nie pozwalają zapomnieć, że zdobywanie szczytów, nawet tych najwyższych, to jednak zabawa.

Skoro jesteśmy przy zabawie, dorzucę jeszcze parę słów o prawdziwie polskim hotelu „Lhotse”, w którym panuje miła, morsko-

oczna atmosfera, wraz z jej bałaganem, „ba-langami” i animozjami, sięgającymi nieraz wstecz do lat pięćdziesiątych. Obie strony, to znaczy i obsługa, i wspinacze, zrezygnowały od dawna z sadzenia się na Europę, w wyniku czego pobyt tam nie należy do lekkich. Wiele ostatnio mówiono o upadku kultury wśród młodego pokolenia taterników. W hotelu „Lhotse” widać, że nie jest to dziełem przypadku.

☆

Korzystając z łamów „Taternika” chciałem zwrócić się do organizatorów naszego życia górskiego z apelem o dokonanie niezbędnych posunięć formalnych, dzięki którym wyprawy małe — tańsze i stylem swoim tkwiące w najbardziej sportowym nurcie dzisiejszego himalaizmu — zostałyby niejako „zarejestrowane” w świadomości działaczy i niektórych komisji PZA. Sama idea takich wypraw nie powinna już chyba budzić wątpliwości, gdyż jej realizacja trwa od ładnych paru lat, a korzenie sięgają dwudziestolecia międzywojennego, żeby sięgnąć do przykładu choćby naszej wyprawy na Nanda Devi East.

Résumé. Próba przejścia: Walenty Fiut i Wojciech Kurtyka 29 IX—3 X 1979 do ok. 6200 m. Przejście ściany (2600 m wysokości): Renato (René) Ghillini, Alex MacIntyre, Wojciech Kurtyka i Ludwik Wilczyński 6—8 V 1980 do drogi normalnej (ok. 7700 m), którą powrót do bazy. 16—18 V 1980 wejście drogą normalną na szczyt (z biwakami 6400 i 7500 m). O wyprawie „Taternik” pisał w numerach 1/80 s. 26 i 2/80 s. 64. Odnotowujemy też 2 reportaże prasowe: Maciej Biega — Zawieszony nad przepaścią; „Sportowiec” 24 II 1981. Wojciech Kurtyka — Złamać naturę; „Przekrój” 14 XII 1980.



DOUGLAS K. SCOTT

Makalu — bez powodzenia

Zespół naszej wyprawy tworzyli oprócz mnie Georges Bettembourg, Roger Baxter-Jones oraz Ariane Giobellina. Naszym zamierzeniem było wejście na piątą górę świata w stylu alpejskim — bez tlenu, bez Szerpów powyżej bazy, bez łączności radiowej, bez poręczówek. Wymagało to pełnej aklimatyzacji, którą postanowiliśmy zdobyć na niższych szczytach. Rozbiliśmy więc 2 bazy. Z drugiej z nich, u zbiegu lodowców Barun i Chago (5400 m), weszliśmy na szczyty 6170, 6250

i 6350 m, a także na południowy wierzchołek Chago (6600 m). Następnie zaatakowaliśmy Kangchungtse (Makalu II, 7640 m). Założyliśmy obozy 5800, 6400 i 7400 m (na Makalu La). W drugim obozie zachorowała Ariane, którą trzeba było sprowadzić w dół. 5 października 1980 r. weszliśmy drogą odmienną od zwyczajnej na pełną nawisów grań szczytową, nią zaś na oddalony o ok. 800 m drugi wierzchołek, jak się zdaje wyższy. Georges zjechał na nartach wschodnią stroną szczytu (I kompletny zjazd), Roger i ja — mniej wprawni — zostawiliśmy narty niżej i zjechaliśmy z wysokości 6700 m. Obaj uznaliśmy zgodnie, że z nartami jest w Himalajach więcej utrapienia aniżeli pożytku.

Przyszła kolej na Makalu. Nasz plan przewidywał trawersowanie masywu — granią południowo-wschodnią w górę i drogą fran-

cuską w dół. Z wypowiedzi Angtseringa wynikało, że zarówno Japończycy w r. 1970, jak i Hiszpanie w 1976 ominięli dolny trudny odcinek grani. My postanowiliśmy pokonać całość. W dniu 15 października, idąc z plecakami po 27 kg, przetrawersowaliśmy szczyty 6260 i 6825 m, zakładając w mgłę biwak na przełęczy 6800 m. W ciągu dwu następnych dni — miejscami w trudnej wspinaczce — dotarliśmy pod Czarną Turnię. Szalejąca wichura uniemożliwiała dalsze posuwanie się granią, zeszliśmy więc na północną stronę, do dzikiego wschodniego kotła. Warunki były tu bardzo ciężkie: zasypany śniegu, wiatr dmący z góry prosto w twarz. Po biwaku, 18 października podeszliśmy kotłem około 1,5 km, a potem wspinaliśmy się wprost na stoki kopuły szczytowej. Biwak na wysokości 8050 m zapamiętamy długo. Przygniatani wichurą, cały następny dzień spędziliśmy skuleni w naszym namiocie, zjadając resztki żywności. Rankiem 20 października nie wróżył poprawy, nie pozostało więc nic innego, jak zawrócić.

DOBROŚŁAWA MIODOWICZ-WOLF i ANDRZEJ MACHNIK

Spotkanie z Pamirem

W międzynarodowym obozie „Pamir 80” ze strony PZA uczestniczyła grupa w składzie: Halina Kaniut, Barbara Sienicka, Anna Skowrońska, Dobrośława Wolf, Maciej Berbeka, Andrzej Machnik, Jerzy Milewski (kierownik), Janusz Skorek, Bogumił Słama i Włodzimierz Stoiński. Zespół kobiecy miał działać osobno w ramach treningu przed wyprawą na K2.

Do bazy pod Pikiem Lenina dotarliśmy 13 lipca 1980 r., zaś w dwa dni później znaleźliśmy się w bazie na Fortambeku. Kilka osób weszło na szczyt Biały Kamień (5000 m).

Jako cele aklimatyzacyjne wybraliśmy szczyty Krupskiej (6000 m) i Oszanina (ok. 6350 m — tylko dla zespołu męskiego). Plan przewidywał próbę poprowadzenia nowej drogi na północno-zachodniej ścianie tego drugiego szczytu. 18 lipca całą grupą ruszyliśmy pod przełęcz Szini-Bini, skąd wejść można na oba wierzchołki. W trakcie podejścia okazało się, że ściana Piku Oszanina tworzy ponure urwisko ponad 1500 m wysokości, na całej szerokości narażone na lawiny kamienne i lodowe. Biwak założyliśmy na grzędzie opadającej z Piku Krupskiej na wysokości ok. 5000 m. Noc urozmaicał huk lawin spadających ścianą Piku Oszanina. Rano towarzystwo nie przejawiało specjalnej ochoty do wspinania. Ok. 10 Machnik ruszył w dół po pozostawioną poprzedniego dnia żywność, zaś Berbeka i Skorek zdecydowali się wejść na Szczyt Krupskiej, gdzie zabiwakowali. Następnego dnia w ich ślady poszła reszta grupy, również zakładając na szczycie biwak aklimatyzacyjny. Podczas zejścia w dniu 21 lipca okazało się, że A. Skowrońska nie jest w stanie poruszać się o własnych siłach. Do-

Wykorzystując poprawę pogody, Roger Baxter-Jones podjął próbę samotnego wejścia na Makalu zachodnią flanką, jednak wichura oraz zimowe warunki (szklisty, wydmuchany wiatrem lód) szybko położyły kres i tej próbie.

Dla polskiego czytelnika interesująca będzie organizacyjna strona przedsięwzięcia. Otóż jego podstawę finansową stanowiły wpłaty uczestników (po £ 800) oraz zasiłki z British Mountaineering Council (£ 600), Mount Everest Foundation (£ 900) oraz Barclays Bank (£ 400). Dużej pomocy udzieliła nam Air India, fundując dwa bezpłatne przeloty i zniżkę za transport bagażu. W sprzęt i żywność wyposażyli nas firmy w ramach kontraktów reklamowych. W Nepalu całość spraw organizacyjnych oddaliśmy w ręce Sherpa Co-operative Trekking. Zabranie Ariany było eksperymentem — bardzo szczęśliwym, gdyż jej obecność wniosła do zespołu tę równowagę, której zwykle brakuje grupom czysto męskim.

Dobrośława Wolf, Machnik i Milewski sprowadzili ją na miejsce poprzedniego biwaku, a następnego dnia, już całym zespołem — do bazy. Z Piku Oszanina trzeba było oczywiście zrezygnować.

Pik Kommunizma 7483 m

Po dyskusji w bazie zdecydowaliśmy, że panie w eskorcie B. Słamy spróbują wejść na Pik Korzeniewskiej, zaś panowie zaatakują w piątkę południową ścianę Piku Kommunizma. Ponieważ jednak gospodarze nie zgodzili się na udostępnienie helikoptera, który mógłby przerzucić zespół, postanowiliśmy plan zmienić i rozbić grupę męską, przy czym Berbeka, Machnik i Skorek mieli podjąć próbę pierwszego powtórzenia drogi Biezzubkina (6B) na północnej ścianie Piku Kommunizma, zaś Milewski i Stoiński — przejść drogę Borodkina (5B) na tejże ścianie.

25 lipca śmigłowiec przerzucił nas do bazy na Lodowcu Moskwinia po północnej stronie góry, skąd rozeszliśmy się w swoich kierunkach. Podchodząc pod drogę Borodkina, W. Stoiński ugodzony został kamieniem w głowę i odtransportowany do szpitala w Oszu. Berbeka, Machnik i Skorek dotarli pod ścianę i ok. godziny 14 rozpoczęli wspinaczkę. W ciągu 3½ dnia pokonane zostało główne spiętrzenie o wysokości ok. 2000 m, gdzie droga biegnie wybitnym stromym filarem, o kruchej skale, dużym nagromadzeniu średnich trudności (III—IV—V) i braku dogodnych miejsc biwakowych. 28 lipca wieczorem zespół osiągnął Pamirskie Plateau, gdzie przez następne



Przełęcz Szini-Bini, na prawo od niej szczyt Krupskiej (6000 m). Widok z Białego Kamienia.

Fot. Dobrośława Miodowicz-Wolf

2 dni oczekiwał na poprawę pogody. Wobec pogorszenia się warunków, zdecydowano się dokończyć przejścia nie północną grania (poprzez Pik 6800 m), lecz drogą łatwiejszą, przez Pik Duszanbe (6950 m). 31 lipca zespół założył kolejny biwak (6800 m), zaś następnego dnia ok. godziny 12.30 Berbeka i Skorek osiągnęli wierzchołek Piku Kommunizma, natomiast Machnik, ze względu na gorsze samopoczucie, dotarł tylko do wysokości ok. 7100 m, po czym wszyscy zeszedli na Pamirskie Plateau, by 2 sierpnia przetraversować je (12 km) i zejść żebrem „Buriewiestnika” (2000 m) wprost do bazy na lodowcu Fortambek. W trakcie zejścia nastąpiło spotkanie ze Skowronką i Milewskim, którzy wyszli tą drogą na Pik Paraszutistów (6100 m), tworzący krawędź Plateau.

Pik Korzeniewskoj 7105 m

Zespół żeński z B. Słamą wyruszył 26 lipca z Pylnej Polany i założył biwak na wysokości 4700 m. Rano Barbara Sienicka-Kalmus wycofała się z dalszej akcji górskiej. Drugi biwak wypadł na wysokości 5700 m, lecz i tu dopadł grupę pechowy przypadek. Bogumił Stama, filar zespołu, musiał zrezygnować z dalszej drogi w górę z powodu silnego zatrucia. 28 lipca został on sprowadzony do łatwego terenu, a panie wróciły, by kontynuować podejście. Na wysokości ok. 6000 m Halina Kaniut postanowiła zrezygnować z dalszej akcji. Po złożeniu depozytu (namiot i żywność) zespół zszedł tego dnia na wysokość 5300 m, a następnie na Polanę Pylną.

Po 4 dniach pertraktacji z kierownictwem międzynarodowego zgrupowania, Dobrośława Wolf zdołała uzyskać zgodę na dołączenie się do międzynarodowego zespołu. Biwakując na wysokości 5300 i 6400 m w dniu 3 lipca wraz z 3 towarzyszami osiągnęła ona wierzchołek Piku Korzeniewskoj (7105 m). Realizując swe zadanie, zespół spędził wiele dni na Pylnej Polanie, gdzie nawiązał bardzo serdeczne kontakty z grupą alpinistów z Nowosybirsk z Kolą Szewczenką na czele.

Głównym osiągnięciem wyjazdu stało się drugie przejście trudnej drogi Biezzubkina, która w sumie pokonuje ok. 3500 m różnicy wzniesień i, jak większość wielkich dróg w Pamirze, zdobyta została przez Rosjan metodą półobłędniczą. Z ogółem 10 uczestników wyjazdu tylko troje „zaliczyło” szczyty siedmiotysięczne, przy czym tylko Berbeka i Skorek dysponowali już tzw. doświadczeniem wysokościowym. Głównym powodem była niewystarczająca aklimatyzacja, która — z uwagi na przebieg wydarzeń — musiała się ograniczyć do zbyt niskiego Piku Krupskiej.

Zaznaczyć należy, że krótki, zaledwie trzytygodniowy pobyt w górach tak wysokich, jak Pamir, jest nieporozumieniem, gdyż okres ten nie może zapewnić uzyskania odpowiedniej aklimatyzacji, szczególnie ludziom bez zaprawy wysokościowej, a tacy się tu przecież w dużym procencie pojawiają (w naszej grupie stanowili oni 7/10 całego składu).

Na północnej ścianie Piku Kommunizma

25 lipca. W piątkę podchodzimy w górę Lodowcem Waltera pod północną ścianę: Jurek Milewski, Maciek Berbeka, Janusz Skorek, Włodek Stoiński i ja. Po godzinie Jurek z Włodkiem skracają w prawo, w stronę grzędy Borodkina, nasza trójka brnie dalej lodowcem w kierunku stromego filara, którym w r. 1971 poprowadził swoją drogę Biezzubkin. Filar ma 2000 m wysokości i wyprowadza na Pamirskie Plateau (ok. 6000 m). Poprzez Pik 6700 m droga wchodzi dalej na kopułę szczytową, wznoszącą się jeszcze ok. 1500 m ponad Plateau.

O godzinie 12 docieramy do miejsca, gdzie kończą się usypiska moreny środkowej, a zaczyna się teren pokryty zwałami starych i świeżych lawin. Przez godzinę debatujemy nad tym, co może nam ewentualnie spaść na głowę z ciągnącej się w poprzek całej ściany bariery seraków, po czym ruszamy w kierunku najniższego punktu filara. Gdy dochodzimy do pierwszych skał, nasz niewyraźny nastrój pogarszają jeszcze lecące z góry kamienie. Niezwłocznie rozpoczynamy wspinaczkę. Wory już od pierwszych metrów dają nam się potężnie we znaki. Kamienie po jakimś czasie spadają już tak gęsto, że uciekamy w lewo na krawędź filara, sąsiadującego tu bezpośrednio z lewym kuluarem, nad którym wiszą olbrzymie seraki. Na trawersie spadający kamień wbija mi kask na uszy. Gdy osiągamy krawędź filara, lewym kuluarem rusza wielka lawina, napędzając nam niemało strachu. Wieczorem docieramy do sporej śnieżnej półki, na której rozstawiamy namiot i zakładamy biwak.

26 lipca. Rano wyrzucamy część żywności, lecz wory i tak pozostają ciężkie. Filar nabiera coraz większej stromizny. Po południu łą-

dujemy pod wielkim spiętrzeniem, zbudowanym ze wzbudzającej lęk skały o konsystencji posklejanego piaseczku. Ściana staje dęba, po prawej stronie przechodząc w pion, z którego wychylają się przewiechy. Do wieczora nie udaje nam się dotrzeć do żadnego miejsca zdadnego na biwak. Zatrzymujemy się na noc w znacznej ekspozycji, półwisząc na pętłach autoasekuracyjnych i osuwając się po rozsypanym się stromym zeberku.

27 lipca. Wdzieramy się na kolejne spiętrzenie filara, który nie chce się jakoś położyć. Stanowiska są niewygodne, a wspinamy się cały czas w rakach. Miejscami trzeba przeciągać wory. Dzień szybko mija — wieczorem dopadamy małej przelączki pod ostatnim skalnym spiętrzeniem, które ma charakter turni obrywającej się pionowymi ścianami. Dwa metry niżej znajdujemy długą, wąską półeczkę, zawieszoną nad ekspozycją i pokrytą kalafiorami złodowaciałego śniegu. Po godzinnym „fedrowaniu” rozwieszamy na hakach namiot, który częściowo zwisa poza krawędź półki.

28 lipca. Uskok turni nie wyglądał zachęcająco, puszcza jednak od prawej strony. Dalej wbijamy się w lodową grańkę i pole wyprowadzające pod barierę seraków. Na twardym lodzie zalega luźna śnieżna papka. Przewodząc, idę „rowerem” i usiłuję utrzymać się na posiadanych przyrządach. Po południu mijamy barierę seraków i pod wieczór wyciągniętym kłusem przez rozległe pole śnieżno-lodowe osiągamy krawędź Plateau. Po przejściu jeszcze blisko kilometra płaskiego terenu roztawiamy namiot w pobliżu grupy opuszczonych „Pamirek”.

29 i 30 lipca. Wieje i pada śnieżek. Przez pierwszy dzień objamy się planowo, przyrządzając ohydne mikstury z posiadanych zapasów. Przez pół następnego dnia dochodzę po tym do siebie.

31 lipca. Całą noc wieje i pada, ale rano pogoda poprawia się. Ze względu na warunki

ki, na podbój baluchy szczytowej ruszamy nie przez Pik 6800 m, lecz przez Pik Duszanbe (6950 m). Powyżej 6500 m zaczynamy odczuwać skutki niewystarczająco przeprowadzonej aklimatyzacji — dla mnie to przecież debiut na tych wysokościach. Moi obcy z siedmioma tysiącami partnerzy odstawiają mnie o spory kawałek. Biwak zakładamy na 6800 m.

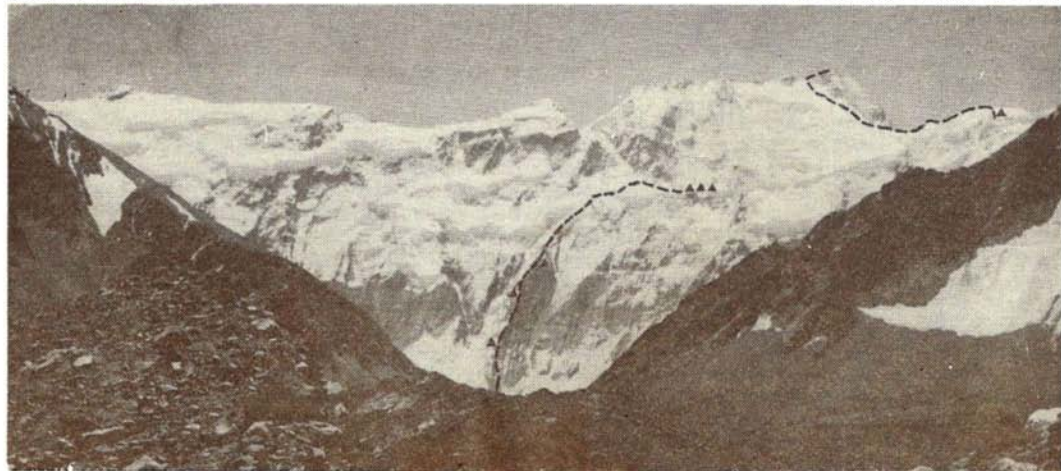
1 sierpnia. Około godziny 10 rano Janusz i Maciek ruszają w kierunku szczytu, ja podrywam się 20 minut po nich bez wyraźnej chęci marszu w górę. Po kilkunastu metrach mój nastrój poprawia się jednak i bez zatrzymania przelażę przez Pik Duszanbe. Granią, powyginaną w szereg śnieżnych bambulców, a następnie długim trawersem pod skalami baszty szczytowej osiągam podszczytowe pole śnieżne. Tu o godzinie 13.30 na wysokości ok. 7100 m spotykam się ze schodzącymi już ze szczytu kolegami, którzy zawracają mnie w dół.

2 sierpnia. Po ciekim śniadunku rzeško startujemy w kierunku odległego o 12 km Piku Paraszutistow, tworzącego przeciwległy kraniec Pamirskiego Plateau. Opada z niego dwukilometrowe żebro Buriewiestnika, które ma sprowadzić nas do bazy na lodowcu Fortambek. Nasz animusz zanika jednak po 6 kilometrach i następnę 6 wlecemy się już niemrawo, przeklinając monotonię wznoszącą się śnieżną płaszczyznę. O wpół do trzeciej stajemy wreszcie na Piku Paraszutistow, gdzie nieoczekiwanie spotykamy Jurka Milewskiego i Ankę Skowrońską, którzy przyszedli tu z bazy na wycieczkę. Razem zapuszczamy się w labirynt kruchych żeber, lodowych poletek i zetłających, pociętych przez kamienie poręczówek. Wszystko to ciągnie się przez około kilometr. Drugi kilometr to strome zbocze zbudowane z gruzowo-gliniastego „rzęchu”. W powoli zapadających ciemnościach galopujemy przez lodowiec w stronę bazy.

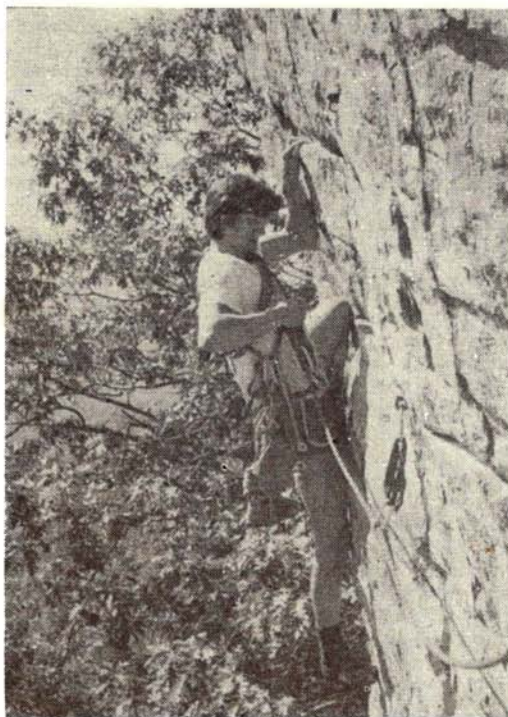
Andrzej Machnik

Północna ściana Piku Kommunizma (7483 m) od strony Lodowca Waltera. Oznaczono drogę Biezbubkina oraz biwaki zespołu polskiego. Fragment wiodący Pamirskim Plateau i podejście na Pik Duszanbe (6950 m) niewidoczne.

Fot. Dobrostawa Miodowicz-Wolf



W pionowym świecie Yosemite



Shawangunks. Wspina się Z. Młynarczyk.

Fot. Krzysztof Żurek

Kogo z nas nie ciekawia góry Stanów Zjednoczonych i wielorakie formy uprawianego w nich alpinizmu? Można wejść w ten fantastyczny świat uzyskali dwaj członkowie KW w Zakopanem, Zbigniew Młynarczyk i Krzysztof Żurek, którzy w ramach kontaktu wymiennego z American Alpine Club przebywali w USA od 29 sierpnia do 29 listopada 1980 roku.

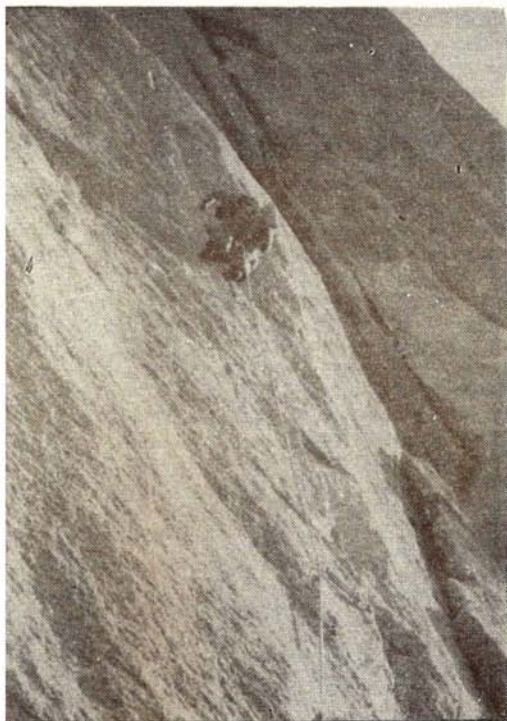
Działaliśmy w pięciu rejonach wspinaczkowych w różnych częściach kraju. Na wschodzie — w rejonie Conway w stanie New Hampshire (Cathedral Rock, White Mountain) oraz w masywie Adirondack w Shawangunks w stanie New York (por. T. 4/80 s. 166). Na środkowym zachodzie — w Rocky Mountains oraz w rejonie Boulder w Colorado. Na zachodzie odwiedziliśmy Yosemite w Kalifornii, który to rejon był głównym celem naszego wyjazdu. Poza tym Z. Młynarczyk wspinał się w Wisconsin w górach Baraboo. W sumie przeszliśmy ok. 35 dróg o trudnościach od 5.5 do 5.11. Ich pełny wykaz znajduje się w „Książce wejść” KW w Zakopanem. Niżej podaję kilka najciekawszych:

W New Hampshire — Cathedral Rock „Retaliation” 5.9 i „Diedre” 5.9; w Shawangunks — „Transcontinental Nailway” 5.10 i „Retribution” 5.10; w Colorado w Boulder Canyon — Castel Rock „Jackson’s Wall Direct” 5.9+, w Eldorado Canyon — Red Garden Wall „Ruper” 5.8; w Estes Park — Twin Owls „Tiger’s Tooth” 5.10; w Rocky Mountains — Petite Grepon „South Face” 5.8; w Yosemite — Swan Slabs „Aid Crack” 5.11, Higher Cathedral Rock „Braille Book” 5.8, El Capitan „The Slack Sherer Crack” 5.10, Sentinel Rock — „Steck-Salathe Route” 5.9 A3, Middle Cathedral Rock „East Buttress” 5.9 A1, Half Dome „Snake Dike” 5.7, Cookie Cliffs „Meat Grinder” 5.10c, El Capitan „East Buttress” 5.10a; w rejonie Baraboo (Wisconsin) — „Big Deal” F9a.

Duża różnorodność rejonów, w których działaliśmy, a także różnorodność dróg wspinaczkowych pozwoliły nam wyrobić sobie pewien pogląd na alpinizm amerykański w jego najbardziej obecnie popularnej formie, wspinaczkę skalną. Wielką satysfakcją dla nas była możliwość wspinania się z wieloma wybitnymi alpinistami, takimi jak Allen Steck, Henry Barber, Doug Madara, Chip Lee, Tom Hargis, Molly Higgins, Bob Culp, no i, przede wszystkim, Adams H. Carter.

A teraz kilka naszych ogólnych obserwacji. Wszędzie tam, gdzie wspinaliśmy się, skała była lita i pewna, nie widywaliśmy tak częstych w Tatrach trawek i kruszyn. Drogi klasyczne wiodą z reguły pionowymi szczelinami o różnej szerokości: od takich, w które z trudem wciska się palce, aż do tak szerokich, że nie można już klinować kolan, lecz nie udaje się jeszcze wcisnąć całym ciałem. Te ostatnie, tzw. *off width*, nastęrczały nam najwięcej trudności. Stosuje się w nich klinowanie przedramienia — „dłoń-łokiec” lub też podudzia — „stopa-kolano”. Dla ochrony skóry podczas klinowania wspinacze owijają nadgarstki i kostki palców specjalną taśmą, używają także nakolanników.

Ubiór jest raczej dowolny. Asów poznać można po woreczkach na magnezję i przepaskach na czole. Popularne są tzw. *T-shirts* z nadrukowanym emblematem grupy górskiej, jaką właściciel reprezentuje. Wielu wspinacze się w luźnych spodniach, zwiężających się nad kostką, podobnych do spodni Hindusów. W ogóle młodzież nosi się tu trochę orientalnie, dominują bowiem kontestanci cywilizacji amerykańskiej. Podstawowy sprzęt wspinaczkowy, to kostki i stopery, taśmy ekspresowe i friendy. Asekuracja z płytek. Nikt nie używa młotków, nawet idąc na drogę hakową. Bywa to powodem częstych odpadnięć ze starymi hakami. A propos friendów: kilka razy



Yosemite. Base of El Capitan 5.10a. Prowadzi Tom Hargis.

Fot. Zbigniew Młynarczyk

rozmawiałem z Amerykanami, którzy uważali, że ich stosowanie jest naruszeniem etyki alpinizmu, podobnie jak posługiwanie się magnesją.

Jeśli chodzi o skalę trudności (zob. T. 4/80 s. 166), na wschodnim wybrzeżu spotkał się z opinią, że 5.10 w Conway czy w Shawangunks odpowiada 5.11 w Colorado lub

Yosemite. Z własnej praktyki nie mogę tego potwierdzić, tym bardziej, że w Yosemite parę razy „podżywałem” nawet przy 5.8, właśnie w owych szczelinach *off width*. Z kolei mile zaskoczyła mnie wycena w przewodnikach trudności ścian pozbawionych szczelin, tzw. *face climbing*. Jak na nasze odczucie była ona zawyżana.

Odrębną dziedzinę stanowi *bouldering* (od *boulder* = głaz skalny). Poziom czołówki w tej specjalności jest naprawdę wyśrubowany. Wiele razy przymierzałem się do różnych problemów i najczęściej nie mogłem oderwać się od ziemi. Pocieszyła mnie jednak myśl, że jestem przecież bardziej wszechstronny. Wielu asów *boulderingu* nigdy nie wspinało się w większych ścianach, a nie brak i takich, którzy nigdy nie związali się liną.

Podobnie jak to bywa w naszych skalach, każdy rejon wspinaczkowy ma własnych mistrzów, którzy są autorami najtrudniejszych dróg i nadają ton całemu środowisku. Dla rywali z innych rejonów są u siebie nie do pokonania. Wszyscy intensywnie trenują. W Camp 4 w Yosemite istnieje „pakernia”, gdzie o każdej porze dnia ćwiczą na drążkach, linach z węzłami i długim łańcuchu rozpiętym pomiędzy drzewami. Do tego oczywiście ciężary i gimnastyka, zwiększająca zakres ruchomości stawów. Mój partner z kilku wspinaczek, Tom Hargis; bez przygotowania podciągnął się na drążku 60 razy, narzekając, że stracił formę, gdyż normalnie wyciąga przeszło setkę. I jeszcze wyliczenie kilku typowych dla *rock climbers* kontuzji i schorzeń: artretyzm z powodu częstych przeciążeń stawów i ścięgien dłoni, nadciągnięcia mięśni, naderwania ścięgien, rozdarcia paznokci.

A tak w ogóle, to bardzo nam się w Ameryce podobało, najbardziej zaś to, że niemal pod każdą drogę można podejść samochodem i pierwsze stanowisko założyć ze zde-rzaka.

Jak opisać drogę wspinaczkową?

UIAA wydała w r. 1980 zalecenia dla autorów przewodników wspinaczkowych i opisów dróg, uzupełniające instrukcję z r. 1972.

W główce opisu należy podać m.in. a) w jakich warunkach dokonano przejścia; b) obiektywne zagrożenia drogi, np. mokra lub krucha skała, ekspozycja, trudności orientacyjne, kłopotliwy odwrót; c) konieczny wysiłek, np. droga męcząca, bardzo męcząca, wyczerpująca; d) ogólne walory drogi, jak piękna wspinaczka, ciekawe widoki, dzikie otoczenie itp. Jeśli droga, poprowadzona hakowo lub częściowo hakowo, otrzymała przejście klasyczne, należy podać daty i autorów obu przejść: pierwszego w ogóle i pierwszego klasycznego. Trudności podajemy według tego drugiego. (Występuje tu niezgodność ze stanowiskiem praktyków alpejskich, którzy uważają, że należy podawać obie oceny — ten też system chciał-

by stosować „Taternik”. Posługując się schematem rysunkowym, należy go krótko skomentować, określając wejście w ścianę i omawiając ogólnie przebieg drogi.

Od „Taternika” dodajmy, że opis drogi musi zawierać pełne imiona i nazwiska uczestników przejścia oraz dokładną datę. Przy operacjach rozłożonych na więcej dni prosimy stosować formułę: 4, 5, 6—8 sierpnia 1980, gdzie 4, 5 oznacza dni preparowania drogi ze schodzeniem do bazy (schroniska, namiotu), a 6—8 — atak ciągły z biwakami w ścianie. Dla uniknięcia zamieszania, trudności należy podawać według skali UIAA, przy opisach z Tatr — z modyfikacjami przyjętymi w naszej literaturze (por. wstęp do tomu 16 „Tatr Wysokich” Witolda H. Paryskiego). Oceny w innych skalach można dodać w nawiasie.

Próba obiektywizacji skali trudności

Podejmując dyskusję nad tatrzańską skalą trudności, zapoczątkowaną w „Taterniku” już dawno temu, a kontynuowaną choćby w artykułach Andrzeja Machnika, chciałbym ustosunkować się do samej metody wyceniania trudności skalnych i zaproponować racjonalne, wydaje mi się, rozwiązanie tego problemu.

Chodzi o to, że metoda stosowana do tej pory, nie mogła wykazywać realnych trudności dróg, była bowiem indywidualnie subiektywna: stopień ustalał jeden wspinacz lub jeden zespół (zwykle pierwszych zdobywców). Skrajnie trudno było wtedy, gdy jakiś odcinek został przebyty na granicy odpadnięcia. Metoda ta nie uwzględniała indywidualnych (nieraz bardzo znacznych) różnic pomiędzy umiejętnościami różnych osób: inne trudności odczuwał jako skrajnie intensywnie trenujący skałkowiec, a inne słaby fizycznie i psychicznie adept sztuki wspinaczkowej. Wynikający stąd subiektywizm ocen — pomijam tu aspekty inne, poruszone przez A. Machnika w „Taterniku” 4/1980 — ma też swoje odbicie w kwestii bezpieczeństwa. Standardowe wycenianie miejsc najtrudniejszych na V+ jest dla niezorientowanych wysoce mylące. Początkujący taternik po przejściu kilku dróg wycenionych na V w latach międzywojennych jest mile zaskoczony poziomem własnych umiejętności i przeświadczony, że obecne wspinaczki są co najwyżej o pół stopnia trudniejsze. Rozpoczynając wspinaczkę, nie jest przygotowany na jej rzeczywiste trudności, czego prostą konsekwencją może być wypadek. Jest jeszcze kwestia rozbieżności występujących między przewodnikami i opisanymi krążącymi wśród zainteresowanych. Warto by doprowadzić do jakichś ujednoliczeń, a także stworzyć obiektywną podstawę do konfrontowania poziomu naszego wspinania klasycznego z *free climbing* w innych górach.

Przejdźmy teraz do sedna sprawy. Podstawą proponowanej metody jest dążenie do obiektywizacji oceny przez zebranie indywidualnych ocen od większej liczby wspinaczy — za pośrednictwem wypełnianej przez nich ankiety. Drodze zostaje ostatecznie podporządkowana liczba będąca średnią poszczególnych wycen. Punktem wyjścia jest przy tym założenie, że tzw. „kant klasyczny” na Mnichu posiada trudności równe VI—. Dlaczego tak, a nie inaczej? Ważną sprawą jest stworzenie wzorca możliwie łatwo dostępnego i ogólnie znanego. Kant klasyczny jest drogą popularną i często uczęszczaną. Po jego przejściu każdy taternik łatwo może się zorientować — wiedząc, że jest wyceniony na VI— — na co go naprawdę stać. Rozwinięcie skali w górę przy

tym założeniu pozwoli nadto na kontynuację „starych” trudności, których wzorcem była droga klasyczna na Zamarłej Turni, a według których opisane są wspinaczki w przewodnikach W. H. Paryskiego, A. Gierycha, A. Puśkaśa i innych, co stanowić będzie harmonijne połączenie dorobku naszego pokolenia z dziedzictwem po poprzednikach.

Do artykułu dołączam tabelę obejmującą najpopularniejsze drogi z okolic Morskiego Oka, a będącą wynikiem naszych wspólnych ustaleń. Mam nadzieję, że artykuł wzbudzi dalszą polemikę, w której wyniku z czasem wyłoni się w pełni wartościowa skala trudności tatrzańskich, a to właśnie jest naszym celem.

MNICH — Droga Fereńskiego VIII—; Droga Gryczyńskiego VII—; Droga Hobrzańkiego VII; Droga Pilcha i Nabrdalika VII+; Wariant Kosińskiego VII; „Kant hakowy” VII; Kant klasyczny VI—; Droga Stanisławskiego VI.

MNISZEK — Direttissima VI+.

KAZALNICA MIEGUSZOWIECKA — Kant filara VIII—; Scianka z jedykami VII; Kombinacja Czyżewskiego i Poburki VIII—; Droga Malczyka VII; Warianty Czyżewskiego VII; Różowe zacięcie VI; Droga Łapińskiego i Paszuchy VI—; Droga Gryczyńskiego VI.

MAŁY MLYNARZ — Filar śląski VII; Droga Jan-kowskiego i tow. VI+; Wielki Komin VI+; Droga Czerczuka VI—; Droga Kurtyki VI; Droga Skorka VI; Komin Gierycha VI—.

FILAR MIEGUSZOWIECKI (CZOŁO) — Droga Łozińskiego VII—; Droga Michnowskiego V+; droga Uchmańskiego VI.

KOPA SPADOWA — Droga Skłodowskiego VI—; Prawy filar VI+; Lewy filar VI+.

ZAMARŁA TURNIA — Droga Pietscha (oryg.) VII; Droga Pilcha (płyty) VI+.

ZABI MNICH — Droga Czyżewskiego i Wojtka VI+; Droga Czoka i Machnika VI; Droga Wilczkowskiego VI—; Droga Chrobaka VI.

Przygotowane przeze mnie ankiety wypełniło około 20 znanych tatrzańskich wspinaczy, m. in. Ryszard Pilch, Zbigniew Czyżewski, Michał Momatiuk i inni. Uwzględniłem też w artykule wypowiedzi Wojciecha Kurtyki.

W ostatnich miesiącach skutkiem podroźnia papieru oraz zmian w cenniku usług poligraficznych, transportowych itp. nastąpił znaczny wzrost kosztów wydawania prasy. Zmusza to nas do podwyższenia ceny „Taternika”, który począwszy od numeru 3/1981 kosztować będzie 35 zł. Ceny prenumeraty podamy później.

O rolę Grupy Syfonów w taternictwie



Mój stary druh z gór Maroka w 1934 roku, Bolesław Chwaściński wydał ambitną książkę „Z dziejów taternictwa”, mającą podsumować jego sondy w przeszłość ruchu taternickiego i wyzyskać prowadzone od wielu lat kwerendy życiorysowe, dotyczące prominentów, i nie tylko prominentów taternictwa. Obaj mieszkamy obecnie w Warszawie, niedaleko od siebie, i nieraz spotykamy się przyjaźnie, rozmawiając najwięcej na tematy związane z przeszłością i teraźniejszością polskiego alpinizmu. Nadal bowiem sprawy gór i ludzi w górach są w naszym życiu obecne i ważne.

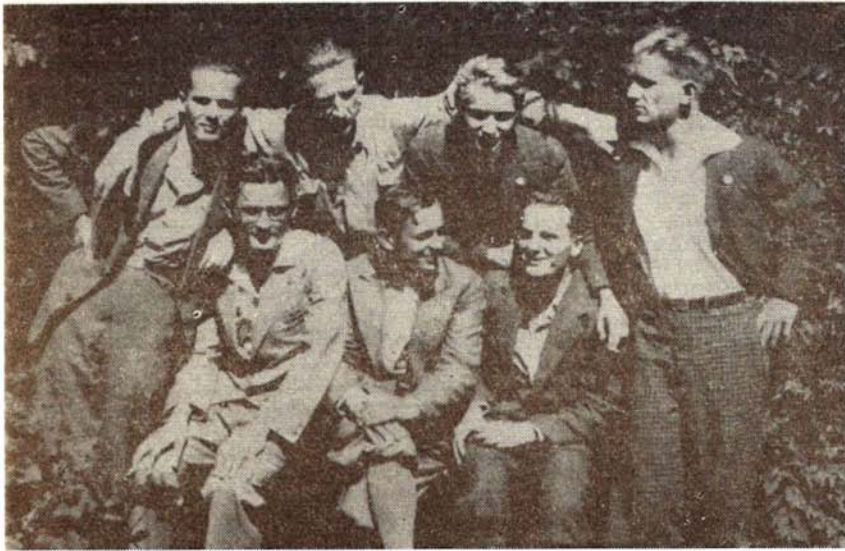
Mam bardzo wiele sympatii i sentymentu do młodszego ode mnie o kilka lat kolegi i przeczytałem jego książkę jednym tchem. Niestety, czytałem ją z mieszanymi uczuciami, a nie tylko z uznaniem dla autora i jego wydawniczej inicjatywy. Książka Chwaścińskiego — która, co zrozumiale, z miejsca zajęła eksponowaną pozycję w dość już bogatej literaturze dotyczącej przeszłości taternictwa — napisana została jasno, z temperamentem i zaangażowaniem emocjonalnym, ma karty świetne i w swoich wywodach przekonujące, ale ma też karty mniej świetne, zdradzające pewne luki w koniecznej znajomości tematu i w dogłębnym przemyśleniu tła, z którego wyrastała taterników działalność skalna. Niektóre dramatyczne karty z przeszłości taternictwa umiał Chwaściński opisać doskonale, a nawet wzruszająco, czy to będzie opis pamiętnej licytacji dóbr Zakopane w 1889 roku, czy szczególne zdobywania Ostrego Szczytu około 1902 roku, czy obraz spraw już bliższych współczesności, jak dziejów zdobywania zachodniej ściany Łomnicy lub wydawania podziemnego „Taternika” za okupacji hitlerowskiej. Biogramy taterników, tak żywo interesujące autora, też nieraz wnoszą dramatyczne akcenty, by wymienić choćby losy Englischeha lub wątki wojennych tułaczek poszczególnych taterników, czasem zakończone szczęśliwie, jak w przypadku Jana Sawickiego, częściej jednak tragicznie, jak w wypadku Włodzimierza Gosławskiego czy Jana Gnojka.

Dużo ma zalet książka Chwaścińskiego — nie zamierzam jej omawiać, gdyż musiałbym wówczas obok zalet wymienić również jej słabości. A w przyczynku niniejszym chcę tylko odrobić pewne zaskakujące przeoczenie w Chwaścińskiego obrazie przeszłości taternictwa, naprawić jego niezrozumiałe niedopatrzenie. Chcę mianowicie oświetlić prawidłowo pewien rozdział z dziejów taternictwa między pierwszą a drugą wojną światową, związany z działalnością tzw. Grupy Syfonów. I uczynić to w myśl zasady: *amicus Boleslaus, sed magis amica veritas*.

Chwaściński pisze obszernie o taternictwie w latach dwudziestych i trzydziestych nasze-

go wieku, wspomina też życzliwie o różnych formacjach środowiskowych, które się tworzyły wśród taterników, a więc o Himalaja-Klubie, o Klubie Kilimandżaro, o Sokołowszczyźnie, wyjaśnia również czemu nie powstała zwarta grupa taterników wokół Stanisławskiego. Natomiast o Grupie Syfonów nie pisze ani słowa, nie to że dobrze czy źle — po prostu ani słowa. Nazwa Grupa Syfonów nie pada w jego książce ani razu. Czytelnik „Z dziejów taternictwa” ma przeto prawo przypuszczać, że takiego ugrupowania w ogóle nie było, że Grupa Syfonów — jeśli coś o niej słyszał — to jakiś mit, który w taternickiej rzeczywistości nie znajdował odzwierciedlenia. A tymczasem Grupa Syfonów istniała i metoda „Todschweigen” jej nie przekreśli. W interesie obiektywnej prawdy należałoby ją zatem przypomnieć. A któżby to miał uczynić, jeżeli nie ja, który byłem — wraz ze Stanisławem Zarembą — jej założycielem, a który jestem obecnie — obok Zaremby i Adriana Czerwińskiego — jednym z trzech pozostałych przy życiu jej dawnych członków. Wybaczcie szumne słowa, ale uważam to po prostu za mój obowiązek.

Grupa Syfonów zawiązała się na przełomie lat 1925 i 1926, z inicjatywy Zaremby, którą ja szybko przejąłem. Na skutek pewnych tarć osobistych, ale także z powodu powiększających się różnic w pojmowaniu istoty taternictwa, Zaremba przestał być po paru latach członkiem grupy, tymczasem jednak przystali już do Syfonów, razem z moim bratem, Mieczysław Szczuka i Jan K. Dorawski, a także paru innych taterników (m. in. Adrian Czerwiński i Jan Dürr-Durski), nie mówiąc o elicie ówczesnych taterniczek. Zbliżonymi do Syfonów sympatykami byli Karol Wallisch i, w ostatnich miesiącach swego życia, Kazimierz Kupeczyk. Wiele nam zawdzięczał, choć i boczył się na nas, Wincenty Birkenmajer. Chwaściński pisze o tych taternikach życzliwie i niejedno; tylko że nigdzie nie wspomina o zespole Syfonów, a nawet przeciwnie: Dorawskiego zalicza wyraźnie do „grupy nazwanej Sokołowszczyzną”, mimo że Dorawski już w swej „Sonacie krywańskiej” (1931) przyznawał się demonstracyjnie do swych najściślejszych związków z Syfonami.



Zdjęcie z albumu J. A. Szczepańskiego. Stoją od lewej: Alfred Szczepański, Wincenty Birkenmajer, Tadeusz Pawłowski, Jan Sawicki. Siedzą — Witold H. Paryski, Bolesław Chwaściński i Jan Alfred Szczepański.

Członkowie Grupy Syfonów podjęli w pełni swą działalność w lipcu 1926 roku. W jednej tygodniowej wyprawie zdobyli wówczas jako pierwsi nie tylko mur Hrubego z Doliny Hlińskiej (o czym Chwaściński wspomina), ale również Ciężki Szczyt z doliny Ciężkiej, przy czym zaczęli swą wyprawę od pokonania — jak to określają „Tatry Wysokie” Paryskiego — „najdłuższej jednolitej drogi w Tatrach” (gdź mającej 1100 m wzniesienia): wejścia na Krywań jego północno-zachodnią granią (przez turnie 1903 m i 2206 m — czemu Paryski ich nie nazwał? — do Przelączki pod Korytem) i następnie górną częścią ściany wprost na główny wierzchołek — w sumie, według Paryskiego, ok. 12 godzin wspinaczki w terenie skalnym, zaczynającym się już w strefie limb i kosówki. Zaznaczony tymi wspinaczkami program sportowo-poznawczy wzbogacił niebawem Szczuka o element ściśle sportowy, podejmując przejście w jednym sezonie wszystkich do owego czasu znanych i jako nadzwyczaj trudne opisanych dróg w Tatrach Wysokich. I program ten zrealizowały Syfony w sezonie letnim 1927, wieńcząc go rozwiązaniem problemu bardzo wówczas dyskutowanego, przejściem Grani Widel „pod włos”. W 1928 roku dodaliśmy do tych sukcesów wejście na Kozią Przelęcz Wyżnią wprost od południa oraz przejście Kapalkowej Grani „pod włos”. W 1929 roku powiększyło ten dorobek przejście północno-wschodniego filara (grani) Ponad Kocioł Turni i wejście na Lodowy Szczyt (Lodowy Zwornik) przez Dolinę Snieżną i Wyżnią Kapalkową Ławkę — najdłuższą letnią drogą o typie skalno-śnieżnym. Zwracamy uwagę na daty przejścia tych dróg, wyprzedzały one bowiem wybitniejsze, ale późniejsze w czasie triumfy taternickie Stanisławskiego i jego niektórych kolegów.

Wspominam zaś o tych drogach dlatego, że w ogólnej ewolucji ówczesnego taternictwa

Chwaściński ich nie zauważył. Z tego okresu działalności Syfonów wzmiankuje on jedynie o zimowych wejściach na Młynarza z Doliny Białej Wody i na Mały Kieźmarski Szczyt z Doliny Dzikiej, poza tym wspomina jeszcze o zaprojektowanym i dokonanym przez nas pierwszym przejściu, latem, wschodniej ściany Gierlachu.

Nie ukrywałem tych wejść pod korcem, ale pisałem o nich emocjonalnie, z osobistego punktu widzenia, więc może nieobiektywnie? Może następne pokolenia oceniły te wejścia Syfonów inaczej i nie przyznają nam w taternictwie żadnej poważniejszej roli? W chwilach emeryckich zwątpień nieraz mnie nachodziły takie myśli. Ale dzisiaj, na zimno i z prawie już półwiekowego dystansu wiem, że Syfonom należy przyznać przynajmniej trzy zasługi: 1) rozwinięcia na pewnym etapie i rozszerzenia taternickiej eksploracji Tatr ponad to, co sami w Tatrach zastali; 2) ugruntowania i umocnienia sportowej ideologii taternictwa; 3) podjęcia pierwszej zorganizowanej, klubowej działalności taterników poza Tatrami.

Tak oceniam wyniki działalności Syfonów w latach 1926—1929. Po roku 1930 Grupa położyła w swej działalności nacisk na wyprawy pozatatrzańskie, natomiast w Tatrach straciła przodujące miejsce na rzecz zdobywcy Wiesława Stanisławskiego. Nawet jednak znajdując się w Tatrach zdecydowanie w defensywie, uzyskała jeszcze w sezonach letnich 1930 i 1932 takie sukcesy, jak pierwsze trzy przejścia (nowymi drogami) północnego muru Jaworowych Turni oraz pierwsze przejście północno-zachodniej ściany Lodowego Szczytu. Był to już zresztą zmierzch: za ostatnią godną wzmianki skalną drogę Syfonów w Tatrach uważam pierwsze wejście na Baranie Rogi z Doliny Dzikiej, jesienią 1936 roku. Potem było już tylko uczestnictwo podpisanego

w drugiej wyprawie w Andy oraz inicjatywa w organizowaniu wyprawy taterników krakowskich w Himalaje, projektowanej na rok — 1940.

A odnośnie do drugiego i trzeciego elementu działalności Syfonów: spory ideologiczne toczyły się w dwudziestoleciu międzywojennym nie tylko między starymi a młodymi, toczyły się też one wewnątrz zespołów młodych. Znamienne były pod tym względem przemiany poglądów Zaremby, a później Stanisławskiego. Konserwyzm taternicki Zaremby odebrał mu po dwu latach redakcję „Taternika”. Stanisławski natomiast przeszedł od apodyktycznego twierdzenia, że „taternictwo bezwarunkowo nie jest sportem” do równie stanowczego, ale poniekąd zacieśniającego zakres taternictwa twierdzenia, że „taternictwo postawiło sobie jak wszystkie sporty jasny i twardy cel: rekord”. We wszystkich tych sporach i kłótniach Syfony brały udział jak najczynniejszy i w pewnym sensie kierunkodawczy.

Można zatem na rolę Syfonów w ruchu taternickim patrzeć rozmaicie i mieć na ich temat poglądy różne. Byłe nie ulegać dawnym animozjom, komerażom i dąsom, ponie-

waż ich galwanizacja prowadzi tylko do zaciemnienia i wypaczenia rzeczywistego obrazu tamtej odległej epoki.

I jeszcze jedno: już w „Wierchach” z 1936 roku pisałem obszernie o Grupie Syfonów i o różnych, związanych z jej poczynaniami sprawach, a wróciłem do tego tematu w eseju wstępnym książki „Przygody ze skałą, dziewczyną i śmiercią”, wydanej w 1956 roku. Pisałem sporo o Syfonach, wcześniej i później. Żałuję, że te prace zostały tak dokumentnie przez taterników zapomniane. Może stało się to niezupełnie słusznie?

P.S. W latach okupacji nie „pracowałem w Deutscher Alpenverein w Krakowie” — jak to zbyt lakonicznie formuluje Chwaściński — lecz byłem, desygnowanym przez Walerego Goetla i Bronisławę Romaniszyną (którzy *de facto* reprezentowali interesy rozwiązanej przez władze okupacyjne PTT wobec zawiązanego w Krakowie „Zweig Krakau des DAV”), kimś w rodzaju strażnika krakowskiego dobra PTT, formalnie związanym z biurem niejakiego Martisa, zażywnego Wiedeńczyka, pełniącego funkcję *der Sportbeauftragte im Distrikt Krakau*. Figura to była przede wszystkim cyniczna i łakoma na dobra doczesne. Pisałem już o tych sprawach w „Wierchach” i może jeszcze do nich wrócić, ponieważ nasuwają pewne wnioski natury ogólniejszej.

Działacze ST AZS Kraków

Zasłużona Sekcja Taternicka AZS w Krakowie, jedno z trzech ugrupowań taternickich, z których powstał KW PTT, działała od października 1923 r. (zebranie konstytuujące), a w formie całkowicie już zorganizowanej — od stycznia 1924 r. (powołanie pierwszego zarządu) do 3 lutego 1936 r. (zebranie likwidacyjne ST AZS, poprzedzające powstanie Koła Krakowskiego KW). Dorobek Sekcji znalazł całościowe omówienie w opracowaniu Władysława Krygowskiego „ST AZS Kraków” (T. 5/1936), zabrakło tam jednak zestawień osób, które tworzyły władze Sekcji, a im to wszakże przypada zasługa zorganizowania tak szerokiego i efektywnego działań zbiorowości. W skład zarządu ST AZS w Krakowie wchodziło w latach 1924—1935 łącznie 19 osób, a mianowicie:

Anczyc Władysław Marcei (wiceprezes 1928—29);
Dawidowska Maria (członek 1924—25);
Dorawski Jan Kazimierz (wiceprezes 1925—27, prezes 1928—31, członek 1932—36 i wówczas też reprezentant ST w Komitecie tworzącym statut przyszłego KW);
Gadomski Adam (członek 1924—25);
Kiełpiński Jan (skarbnik 1930—31);
Korosadowicz Zbigniew (skarbnik 1931, członek 1931—36);
Krókowski Jerzy (sekretarz 1924—27);
Krygowski Władysław (członek 1928, skarbnik 1928—31);
Małachowski Bohdan (członek 1930—32);
Marcinkowski Władysław (członek 1928—29);
Mischke Kazimierz (skarbnik 1924—25);

Paryski Witold Henryk (sekretarz 1930—36);
Roszkówna Zofia (członek 1930—31);
Sinkówna Krystyna (członek 1931—36);
Sokołowski Adam (członek 1924—26, wiceprezes 1930—31, prezes 1932—36);
Sokołowski Marian (prezes 1924—28);
Szczepański Jan Alfred (skarbnik 1928, wiceprezes 1928 i 1930—31, członek 1931—36);
Wallisch Karol (sekretarz 1927—29);
Zaremba Stanisław Krystyn (członek 1927—30, skarbnik 1927—28).

Dopełniając w ten sposób syntetyczny obraz ST AZS Kraków zauważmy, że nie wchodził w skład jej zarządu pomysłodawca (według świadectwa W. Krygowskiego), Jan Dürr. Ponadto S. K. Zaremba pisze we wspomnieniu pośmiertnym o Zofii Krókovskiej, iż „należała do grona założycieli ST AZS i przez czas pewien zasiadała w jej zarządzie”, ale wiadomość ta nie znajduje potwierdzenia w opublikowanej dokumentacji. Również J. A. Szczepański (informacja ustna) kwestionuje twierdzenie Zaremby: „Zofia Krókovska — mówi — na pewno była w Sekcji czynna od samego początku, ale czy była w zarządzie? Chyba nie. Cały swój temperament działacza wkładała w harcerstwo.”

Członków honorowych miała Sekcja dwóch tylko. Byli nimi Jan Wacław Czerwiński i Jan Gwalbert Pawlikowski, obaj obdarzeni tą godnością w r. 1930.

Adam Chowański

Jadwiga Pierzchalanka

Pod koniec ubiegłego lata (25 sierpnia 1980 r.) zmarła w Nowym Targu Jadwiga Pierzchalanka, należąca do tych nielicznych kobiet okresu międzywojennego, które na trwałe wpisały się do historii polskiego taternictwa. Urodziła się we Lwowie 26 lutego 1905 r. w rodzinie nauczycielskiej. Po ukończeniu prywatnego gimnazjum Marii Frenklówny, parę semestrów studiowała w Państwowej Szkole Przemysłowej. W tym czasie z zapalem jeździła konno, a także uprawiała narciarstwo w okolicach Lwowa i w Karpatach Wschodnich. Około 1931 r. przeniósł się w celach zdrowotnych do Zakopanego, gdzie rodzice jej nabyli willę „Orlicę” na Parcelach Urzędniczych. W Zakopanem zamiast werandować wiele godzin, jak zalecił jej doktor Fischer, zaczęła chodzić na coraz dalsze spacery, a nawet lekkie wspinaczki, m. in. na grań Wielkiej Buczynowej Turni, Iglę w Osterwie, Hrubą Turnię. Wreszcie pewnego dnia, a było to w lipcu 1934 roku, wzięwszy potajemnie 12-metrowy sznur od bielizny i namówiwszy przygodnego znajomego zaprowadzić go na grań Kościelca. I tak zaczęła się jej taternicka kariera. Następne lata przyniosły szereg sukcesów, w tym nowe drogi na Świnicę prawą częścią zachodniej ściany (19 października 1935), Kozią Strażnicę południowo-zachodnią ścianą (17 lipca 1936), Skrajny Granat prawym, głównym żebrem zachodniej ściany (21 września 1936), Przełęcz pod Smoczym Szczytem (29 lipca 1937), Skrajną Basztę wschodnią grzędą z Doliny Miękuszwieckiej (30 lipca 1937), Kozii Wierch środkowym filarem południowo-zachodniej

„Ostatnie podrygi ex-Orlicy” — tak zatytułowała to zdjęcie J. Pierzchalanka, dedykując je Krystynie Gorazdowskiej.



Olezyńska — luty 1936 roku.

ściany (20 września 1938), przez „14 Progów” w wąwozie Kraków (6 sierpnia 1946) i szereg innych. Ale najwartościowsze są jej pierwsze przejścia zimowe, gdyż w owym czasie w takich wspinaczkach kobiety na ogół nie uczestniczyły. Są to: Kozia Turnia z Doliny Jagnięcej (w lutym 1935), Pańszczycka Turnia i Wierch pod Fajki (14 grudnia 1935), Świsłowy Róg i część Świsłowych Turni (23 marca 1936), Jaworowa Grań (od Zielonej Przełęczy po Skrajną Jaworową Turnię, 24 marca 1936), Ciemniasta Przełęcz i Wielki Kościół (8 kwietnia 1937). Ma w swoim dorobku nawet kilka pierwszych w ogóle wejść zimowych na szczyty — jedne z ostatnich w Tatrach nie zdobytych zimą — Zielony Wierch Jaworowy, Żabi Wierch Jaworowy, Skrajną Jaworową Turnię (wszystkie 24 marca 1936 r.) oraz Zadnią Jaworową Turnię (10 kwietnia 1937). W r. 1936 uzyskała członkostwo zwyczajne KW. Częstszymi jej partnerami byli m. in. Franciszek Jęczkowski, bracia Kazimierz i Władysław Dobruccy, a przede wszystkim kuzyn, Jan Pierzchała, któremu wiele zawdzięczała ze swych taternickich umiejętności. Na drogach do bardzo trudnych (na Zmarzłą Przełęcz od południa, Niebieską Turnię „pod włos”, północną Kozich Czub) prowadziła, co nie było wówczas w kobiecym taternictwie częste.

Pierzchalanka, lub jak ją niektórzy nazywali „Orlica”, uprawiała także narciarską turystykę wysokogórską, przechodząc wielokrotnie Czerwone Wierchy, Zawrat, Gładką Przełęcz, Zawory, a nawet Dziumbir w Niżnich Tatrach. Uznać ją też można za prekursorkę polskiego kobiecego taternictwa jaskiniowego, gdyż znając dobrze, co było wtedy

rzadkością, wiele jaskiń Doliny Kościeliskiej, Kasprowe, Goryczkową, Juhaską, z zamiłowaniem prowadziła do nich młodych adeptów turystyki. Obraz Jadwigi nie byłby pełny, gdyby nie wspomnieć o jeszcze jednej jej pasji, mianowicie o fotografowaniu. Posiadała rzadki dar syntetycznego ujmowania tematu i wiele jej zdjęć było publikowanych w „Wierchach”, a także w formie pocztówek.

Rozwijająca się choroba oczu i astma zmusiły Pierzchałankę do zrezygnowania z wyso-

kogórskich wędrowek, ale do końca pozostała czynną turystką i jeszcze na parę tygodni przed śmiercią odwiedziła Tatry. Była ona niewątpliwie interesującą i nieco ekscentryczną indywidualnością i wraz z jej odejściem ubyla jedna z oryginalnych tatrzańskich postaci. Obszerny rozdział poświęciła jej Halina Ptakowska-Wyżanowicz w swej książce „Od krynoliny do liny”, wydanej w roku 1960.

Zofia Stecka

MARIAN NAPIERAŁA

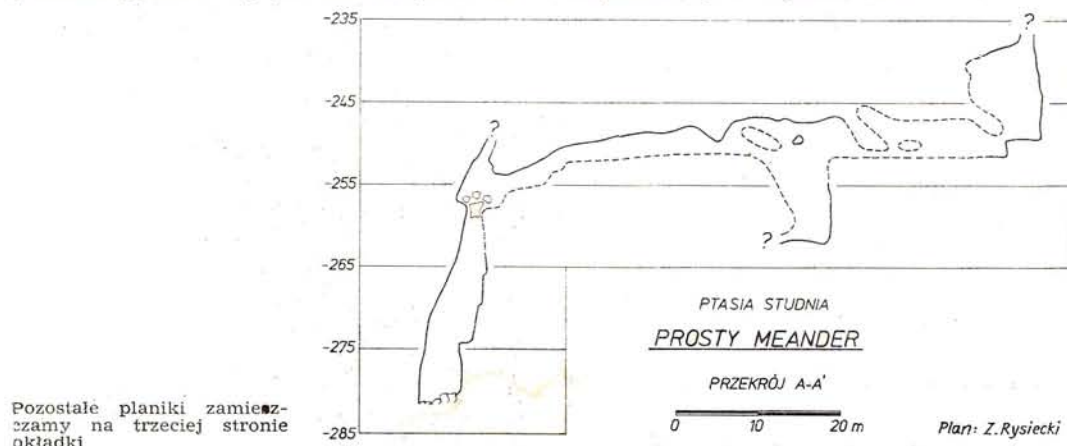
Odkrycia w jaskiniach tatrzańskich

W ciągu ostatnich lat Speleoklub PTTK „Górnik” Katowice zaktywizował swoją działalność pod kątem eksploracji podziemi Tatr. Zanotowano kilka ciekawych odkryć, godnych opublikowania na łamach „Taternika”. Wyniki eksploracyjne Katowickiego Klubu Speleologicznego z lat 1979—81 ogłosimy w osobnym artykule.

Dnia 9 października 1977 r. podczas zwiadu w masywie Małolączniaka dostrzeżono nieznaną otwór. W tydzień później, po poszerzeniu przejścia, jaskinię zwiedzili Stanisław Juziuk, Marian Napierała i Zbigniew Rysiecki. Otwór znajduje się mniej więcej w połowie Baranich Schodków, u podnóża ściany spadającej z Kotlin. Za zaciskiem wlotowym korytarz rozszerza się, prowadząc stromo w dół do małej salki. Niskim przełazem w lewej ścianie dostajemy się do większej sali, zastanej rumoszem skalnym. Dalej otwiera się wejście do trzeciej z kolei, największej komory, która z lewej strony przechodzi w pochyły namuliskowy korytarz, o przebiegu SW-NE. Po 20 m korytarz zwęża się, a zaklinowane bloki zamykają dalszą drogę. Głębokość jaskini wynosi 16 m, długość korytarzy 61 m. W największej komorze natrafiono na kopczyk z kamieni, w związku z czym powstało pytanie: czy jest ona oficjalnie od-

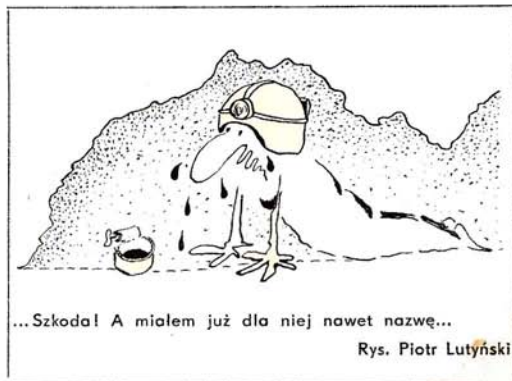
kryta i czy posiada nazwę? W wyniku bezowocowych poszukiwań, w celu uniknięcia sztucznego mnożenia liczby jaskiń, postanowiliśmy przypisać jej nazwę **Uplązkowa**. Jaskinia Uplązkowa została wymieniona w artykule dra Z. Wójcika („Prace Muzeum Ziemi” 1966), nikt jednak nie potrafi na jej temat nic powiedzieć.

W czasie trwania ogólnopolskiego Obozu Speleologicznego w sierpniu 1976 r. w najniższych partiach **Ptasiej Studni** został odkryty na przedłużeniu korytarza końcowego szczelinowy ciąg, kończący się syfonem. Przed syfonem otwierał się komin, z którego spływała woda. W dniach 20—21 października 1977 r. H. Frey, S. Juziuk, M. Napierała i Z. Rysiecki (kierownik) skartowali partie odkryte poprzedniego roku oraz z powodzeniem zaatakowali komin. Po wspinaczce (IV, AO, 1e) i przejściu pomiędzy głazami zaklinowanymi nad studnią dostaliśmy się do salki, z której bierze początek ciasny szczelinowy korytarz typu canion. Ciąg ten — roboczo nazwany prostym meandrem — po 70 m wylatuje z sali, przechodzącej w komin. Plonem akcji było odkrycie 90 m nowych ciągów oraz splanowanie ok. 200 m korytarzy wyeksplorowanych w latach 1976—77.



16 października 1977 r. H. Frey, S. Makarewicz i R. Szymków odnaleźli wlot nieznannej jaskini, zauważony kilka dni wcześniej w wyniku lornetowania z Baranich Schoaków. Otwór położony jest w masywie Małoczańniaka, w północnych ścianach spadających z Kotlin do Niżniej Świstówki. Dostęp do niego jest trudny i mylny, a droga ze względu na znaczną ekspozycję oraz kruchość terenu wymaga asekuracji. 23 października jaskinię zbadali A. Polkowski i Z. Rysiecki. Zbudowana jest ona na szczelinie o przebiegu NEE-SWW, zmodelowanej w znacznym stopniu przez zawałisko. W środkowej części znajduje się salka, której dno zalegają bloki skalne. W prawo i w dół otwiera się szczelina, dostępna w zachodnim krańcu do zjazdu. Z uwagi na pionowy otwór, w jaskini występuje stały śnieg, uniemożliwiający wejście (korek śnieżny) do późnych dni lata. **Świstowa Studnia**, bo tak nazwano jaskinię, ma 28 m długości i 16 m głębokości.

Jaskinia Pod Wantą (Litworowy Dzwon), odkryta i wyeksplorowana do -144 m na początku lat sześćdziesiątych, ze względu na swoje pionowe rozwinięcie była obiektem licznych sportowych przejęć. W dniu 21 maja 1978 r. S. Juziuk, S. Makarewicz i M. Napierała po zejściu na dno jaskini, które według monografii w „Speleologii” (tom III, nr 2) stanowi dno studzienki w końcowej sali, stwierdzili możliwość dalszej eksploracji. Ciasne przejście między wantami (III) wyprowadza nad 7-metrowy próg w salce, której zawałiskowe dno obniża się, by w południowo-wschodnim krańcu osiągnąć najniższy punkt. Pomiar wykazał, że punkt ów znajduje się 11 m niżej od starego dna. Po korekcie głębokości do starego dna (w wyniku błędnego pomiaru końcowej studzienki) na 140 m i dodaniu deniwelacji nowej partii, głębokość jaskini ustalona została na 151 m. W czasie akcji rozwiązano również problem okna w końcowej sali („Meander” nr 2: W. Wiśniewski „Czy tam ktoś był?”). Okno to wyprowadza nad 8-metrowy próg w bardzo wysokiej sali o mytych ścianach. Penetracja zawałiska w dnie sali wykazała brak dalszych przejść.



...Szkoła! A miałem już dla niej nawet nazwę...

Rys. Piotr Lutyński

Jaskinia Wysoka, w masywie Ku Turni Mechy w górnej części wąwozu Kraków, była obiektem biwaku eksploracyjno-inwentaryzacyjnego Speleoklubu Katowice w dniach 13-17 lutego 1979 r. W pierwszej jego części udział wzięli: J. Górnik, M. Napierała, Z. Rysiecki (kierownik) i R. Szymków, w drugiej — T. Ciszzyński, S. Makarewicz, M. Napierała, I. Szczygieł oraz R. Szymków. Głównym celem było okno w Wielkim Kominie (Sali bez Stropu), zauważone kilka lat temu. Dwóm zespołom (Rysiecki-Szymków oraz Górnik-Napierała), działającym na zmianę, wspinał się w przewieszonym, mytym terenie zajęła 15 godzin (A2-A3, 3e). Jeszcze tego samego dnia, po pokonaniu kilku kominów (III-V), odkryliśmy około 100 m ciągów, dochodząc do poziomu +60 m. Następnie Ciszzyński przebył jeszcze jeden komin (V), ponad którym odkryliśmy szereg wznoszących się w górę korytarzy. Na końcu jednego z nich osiągnęliśmy najwyższy, jak się później okazało, punkt Jaskini Wysokiej (+95 m). Po dotarciu przez Makarewicza techniką hakową do okna w Sali z Półką dostaliśmy się do poziomego ciągu o długości sumarycznej 120 m, wylatującego do 20-metrowej „studni Klamera”. Z jej dna krótki meander wyprowadza ciąg do kolejnego okna w Wielkim Kominie. Nowo odkryte ciągi („partie katowickie”), posiadające 410 m korytarzy i studni, rozciągają się na stosunkowo małej powierzchni (w rzucie poziomym) wokół Wielkiego Komina. Komin ten, mający obecnie 106 m wysokości, jest centralnym trzonem jaskini. Drugim, nie mniej ważnym celem było dokończenie kartowania jaskini. Wykonano pomiary partii krakowskich, ciągów do „wielkiego kanału”, partii katowickich oraz tzw. górnych partii, łącznie z korytarzem frakcjonującym.

Biwak okazał się niezwykle owocny zarówno pod względem eksploracyjnym, jak i inwentaryzacyjnym. Nowe pomiary pozwoliły skorygować sumę długości wszystkich znanych ciągów jaskini na 1850 m, wobec 2000 m (bez partii katowickich) podawanych szacunkowo do tej pory. Deniwelacja Wysokiej wynosi obecnie 218 m (+95, -123), co przesunęło ją z 11 na 7 miejsce na liście najgłębszych jaskiń polskich.

Wszystkie materiały dotyczące naszych prac w Tatrach zostały przekazane Oddziałowi Warszawskiemu PTPNoZ, dla potrzeb przyszłej monografii jaskiń Polski. Sukcesy odkrywcze ostatnich lat w Tatrach, odniesione przez ośrodki krakowski i katowicki, wskazują wyraźnie kierunek dalszej eksploracji jaskiń uważanych niegdyś za dobrze poznane. Działalność odkrywców idzie coraz częściej w górę. Forsowaniem kolejnych kominów zagwarantować będzie można wiele przyszłych sukcesów. Tendencja ta wymaga jednak znacznie wyższego niż dotychczas poziomu wykształcenia technicznego grotołazów, w specyficznych — jakże trudnych — warunkach jaskiniowych.

Ponownie w najgłębszej jaskini świata

Po ubiegłorocznej wyprawie do Gouffre Jean Bernard (—1410 m — T. 2/80 s. 71) otrzymaliśmy od alpinistów francuskich z Groupe Vulcaïn z Lionu zaproszenie do wspólnej działalności w tejże jaskini w roku 1981. Możliwość eksploracyjne są w niej co prawda ograniczone, jednakże z uwagi na jej światową pozycję dorzucenie nawet paru dziesięciu metrów do głębokości miałoby duże znaczenie. W wyjeździe, zorganizowanym przez KKTJ Kraków, udział wzięli: Andrzej Bałas, Stanisław Baraniewicz, Andrzej Ciszewski (kierownik), Mikołaj Czyżewski, Ryszard Knapczyk oraz Ewa Wójcik.

Naszym celem była eksploracja okolic syfonu końcowego, gdzie najbardziej interesujący problem stanowi fakt, że na głębokości 1258 m, w Salle de Jour de l'An, płynący jaskinią potok ginie pomiędzy głazami w zawalisku. Do dna jaskini dochodzi się stąd ciasnymi, nieaktywnymi ciągami, sprowadzającymi do również „martwego” syfonu o zmiennym poziomie wody. Charakter tych korytarzy świadczy, że jest to nieaktywny system boczny, który prawdopodobnie stanowił kiedyś rezerwowy kolektor. Głównym celem działalności eksploracyjnej w tym rejonie (pomijając nurkowanie) jest więc możliwość odnalezienia kontynuacji głównego ciągu wodnego i ewentualność zejścia nim poniżej poziomu aktualnie znanego syfonu.

25 stycznia 1981 r. otworem V-4 (1860 m), który ku naszemu zadowoleniu nie był zasypany śniegiem, wszedł do jaskini zespół I (Bałas, Czyżewski i Knapczyk). Po dotarciu do biwaku na głębokości 908 m (względem

V-4) oczekiwał on zespołu II (Ciszewski, Baraniewicz i Wójcik), który wszedł do jaskini 27 stycznia. Pierwszym atakowanym problemem był komin w Puits de Chenau, w którym Francuzi w silnym świetle stwierdzili istnienie okna. Po pokonaniu w kominie kolejnych metrów (IV+, nity) i dojściu do rzekomego okna okazało się, że jest to nyża, a komin kontynuuje się stromo w górę bez nadziei na wejście w inny ciąg. Podczas poszukiwań w Salle du Jour de l'An znaleźliśmy dojście do ginącej wody, lecz krótki odcinek bardzo ciasnego przewężenia uniemożliwił dalsze przejście. Zespół II prowadził następnie działalność poniżej biwaku. Zostało odkryte obejście niewygodnego odcinka Boite aux Lettres, wyeksplorowano też ciasne korytarzyki i kominki w pobliżu syfonu. Gdy wydawało się, że już jesteśmy po drugiej stronie syfonu, skomplikowana pętla sprowadziła nas z powrotem przed syfon. Stwierdziwszy brak dalszych możliwości, zespoły wróciły kolejno na powierzchnię 31 stycznia 1981 r.

Wyjazd przyniósł więc, niestety, negatywne rozwiązanie problemów w okolicy dna jaskini oraz odkrycie ok. 200 m korytarzy w tym rejonie. Wydaje się, że w tej sytuacji jedynie nurkowanie może doprowadzić do pogłębienia jaskini w dół. Pozostały jeszcze problemy wspinaczkowe w najwyższych jej partiach, które mogłyby dać teoretycznie rozwinięcie deniwelacji Jean-Bernard do 1600 m. Już w chwili obecnej dostaliśmy zaproszenie do eksploracji tego rejonu w przyszłym roku.

JERZY WALA

Istniał czy nie istniał?

Artykuł Ryszarda Kowalewskiego „Wyprawa na Disteghil Sar Wschodni” (T. 4/80), skłonił mnie do napisania niniejszego wyjaśnienia. Na s. 160 autor stwierdza, że skierowano atak na szczyt „oznaczony na mapie Jurka Wali kotą 7300 m”, a nieco niżej, że „jak się okazało po zejściu do bazy japońskiej i obejrzaniu ich map — Yazghil Dome 7440 m. Szczyt oznaczony na mapie Wali kotą 7300 m w ogóle nie istniał.”

Na początku muszę stwierdzić, że zdanie „szczyt 7300 m w ogóle nie istniał” jest nieporozumieniem, wszak autor właśnie na niego wszedł! Kota jest tylko inna, niż na mapie japońskiej. A teraz postaram się wyjaśnić sprawę po kolei.

W r. 1971 opracowałem orograficzną mapę szkicową „Karakorum” w skali 1:250 000. Narysowana na kalee, była ona ciągle uzupełniana i częściowo zmieniana, w czego wyniku powstało wiele jej wersji, w kopiach rozprawdzanych w kraju i za granicą. Przypuszczam, że jedną z nich posługiwał się kolega Ryszard Kowalewski. Niezależnie od tej mapy, w r. 1974 rozprawdzałem w formie kopii osalidowych kilkadziesiąt egzemplarzy mojego opracowania „Topography of the Hispar Mustagh Mountain Group (Karakorum)”, zawierającego panoramy oraz mapę orograficzną i warstwicową tej grupy górskiej. Podstawą była amerykańska mapa lotnicza z 1968 roku. Na powiększony do skali 1:250 000 zge-

neralizowany podkład naniosłem orografię w oparciu o dotychczasowe materiały kartograficzne, zdjęcia fotograficzne (w tym z polskiej wyprawy na Kunyang Chhish) i literaturę. W oparciu o te materiały musiałem wprowadzić wiele zmian w przebiegu grani, rozmieszczeniu szczytów i przełęczy. Oznaczyłem szereg nowych szczytów, którym w przybliżeniu określiłem wysokości, a niektórym nadałem nazwy. Stwierdziłem przy tym, że mapa lotnicza 1:500 000 najwierniej przedstawia rzeczywiste ukształtowanie terenu.

W jednym z zeszytów „Iwa to Yuki” ukazał się skrót powyższego opracowania pt.: „Hispar Mustagh Mountain Range” — z moim nazwiskiem, w wersji japońskiej opracowany przez Ichiro Yoshizawę (zeszytu tego nie otrzymałem). W publikacji umieszczono mapy i zestawienia szczytów z nazwami i wysokościami. Materiał ten wykorzystany został przez Tsuneo Miyamori w jego 4-arkuszowym szkicu orograficznym „Karakorum” 1:200 000, opublikowanym jako dodatek do „Iwa to

Yuki”. Autor ten nie powołał się na źródło, z którego korzystał. Sądzę, że z arkuszem 2 tej mapy zetknął się Ryszard Kowalewski w bazie japońskiej. Wysokości i nazwy szczytów (a także i inne) — w tym Yazghil Domes i Disteghil Sar East — podane są tam z mojego opracowania — bez zmian. Podobnie wykorzystany został mój szkic w japońskim atlasie „Mountaineering Maps of the World” (1980) tom 2, ark: 181 i 152. Dla reszty Karakorum posłużono się tu nadto moim szkicem orograficznym w skali 1:250 000. Zrezygnowałem z dochodzenia swoich praw autorskich, zadowolając się otrzymaniem obu tomów tego bardzo drogiego atlasu.

Jak widać, brak możliwości publikowania takich opracowań w kraju stwarza tę dziwną sytuację, że koledy czerpią informacje tak określną drogą. Byłbym bardzo wdzięczny gdybym mógł otrzymać od wyprawy komplet zdjęć o topograficznym znaczeniu, szczególnie ze szczytów.

Jerzy Wala

Umieć przeżyć

Patricia i Hervé Ranville, 22 i 23 lata, sjałi się sensacją ostatniego zimowego sezonu w Alpach Francuskich. 31 grudnia widziano ich w miejscowości Tour w północno-zachodniej, górnej części Doliny Chamonix, a potem przez 3 tygodnie, mimo uporczywych poszukiwań, nie natrafiono na żaden ich ślad. Tylko rodzice młodego małżeństwa wierzyli, że ich dzieci jeszcze żyją... 22 stycznia, krańcowo wyczerpani, z odmrożeniami rąk i nóg, wychudli — oboje stracili po przeszło 10 kg — Patricia i Hervé o własnych siłach dotarli do Mont (2 km na północ od Servoz).

Nie wyruszyli na sylwestrową wycieczkę w rejon Aiguilles Rouges, jak wskazywały poszlaki i gdzie przede wszystkim prowadzono poszukiwania, lecz postanowili przebyć trasę Brévent — Sixt i 4 stycznia powrócić do domu w pobliżu Paryża. Wieczorem 31 grudnia weszli na przełęcz Auterne (2264 m) i w ciągu 3 dni sześciokrotnie usiłowali znaleźć drogę przez barierę skalną w kierunku Sixt. Dalsze próby udaremniło gwałtowne pogorszenie pogody, ustawili więc w bezpiecznym miejscu namiot i oczekiwali pomocy. Dwa razy przeleciał nad nimi helikopter ratowniczy, lecz załoga nie zauważyła ani znaków, jakie dawali, ani specjalnie wyłożonego sygnału z folii, ani namiotu — w kolorze zbyt podobnego do skał. Trzynastego dnia zdali sobie sprawę, że na pomoc nie mogą liczyć i mimo burzy śnieżnej rozpoczęli drogę powrotną. W dzień później, kierując się kompa-

sem i mapą, zeszli nad jezioro Auterne. Na nic zdali się wysiłki, by sforsować zamknięte na sztaby schronisko — obfite opady zmusiły ich do kilku dalszych dni biwakowania w zaspywanym śniegiem namiocie. Nie mogąc się doczekać poprawy warunków, podjęli ryzyko zejścia w dolinę pod skalnymi urwiskami Fiz i padając co kilka metrów dojrnęli do miejscowości Mont.

W jaki sposób przetrwali 22 dni i 21 nocy? Prasa francuska zwraca uwagę na opanowanie i przytomność umysłu obojga. Nie mieli doświadczenia (drugi sezon w górach), ale stosowali się do zaleceń literatury alpinistycznej: gdy pojęli groźbę sytuacji, podzielili skromne, planowane na 3 dni zapasy żywności na minimalne racjeienne, pili wodę z topionego śniegu itp. Mówi matka Patrycji: „Na każdą gwiazdkę Hervé dostawał prezenty związane ze swoim górskim zainteresowaniem, sprzęt, ale oczywiście także książki. Czytał je wszystkie i przechowywał. Doświadczenie zaczerpnięte z lektury uzupełniło nader skromną praktykę górską.” W przetrwaniu dopomógł im z pewnością doskonały ekwipunek — izotermiczny namiot, puchowe śpiwory itp. Natomiast sami „śnieżni rozbitekowie”, jak ich nazwali dziennikarze, oświadczyli zgodnie, że uratowała ich — miłość. „Na szczęście byliśmy razem, inaczej bylibyśmy zginęli”.

Helena Sławińska

Co nowego w Tatrach?

OBOZOWISKA TATRZAŃSKIE

Nawiązując do artykułu W. Janowskiego i A. Machnika „Polskie lato 1980 w Tatrach” pragnę wyjaśnić poruszone w nim problemy obozowiska PZA na Szalasiskach. Rzeczywiście liczba podestów uległa redukcji z 50 do 30, równocześnie jednak zwiększono ich wymiary ze 130×230 cm do 220×350 cm, co umożliwia ustawianie namiotów 3- i 4-osobowych. Tym sposobem pojemność obozowiska powiększyła się ze 100 do 120 miejsc noclegowych. Zgodnie z warunkami umowy TPN — PZA jest ona limitowana liczbą osób, a nie liczbą podestów. Wyniki eksploatacji obozowiska w sezonie letnim 1980 wykazują, że w okresie od 20 czerwca do 10 września było ono wykorzystane tylko w 68%, zaś w latach poprzednich „tłok” panował w wyniku korzystania z niego przez osoby przypadkowe lub towarzyszące taternikom, które zgodnie z warunkami umowy PZA — TPN nie miały żadnych uprawnień do mieszkania na obozowisku.

Kwestionowany w artykule sposób ustawiania podestów wynika z ich wymiarów. Ustawienie podestów o długości 350 cm w linii spadku stoku powoduje wyniesienie przedniej części na wysokość 150 cm i wyżej, co wymagało skomplikowanego systemu podpór. Latem 1980 r. na obozowisku czynny był namiot magazynowy, w którym przechowywano sprzęt. Należy z satysfakcją stwierdzić, że przyczyniło się to do całkowitego wyeliminowania kradzieży.

Okres eksploatacji wszystkich obozowisk taternickich ustalony został decyzją Dyrekcji TPN na czas od 25 czerwca do 10 września każdego roku. Takie były postanowienia wszystkich umów począwszy od 1967 roku. Przedłużanie eksploatacji w poprzednich latach było łamaniem umowy i w r. 1980 omal nie doprowadziło do jej anulowania. Przed sezonem letnim 1981 Zarząd PZA podjął starania o uzyskanie zgody TPN na przedłużenie terminów do 30 września. W świetle doświadczeń zebranych w sezonie letnim 1980 należy jednak stwierdzić, że w warunkach rygorystycznego przestrzegania regulaminu obozowisk PZA, pokrywają one w pełni potrzeby działalności tatrzańskiej. Występujące we wrześniu opady śniegu uniemożliwiają zazwyczaj wszelką działalność taternicką.

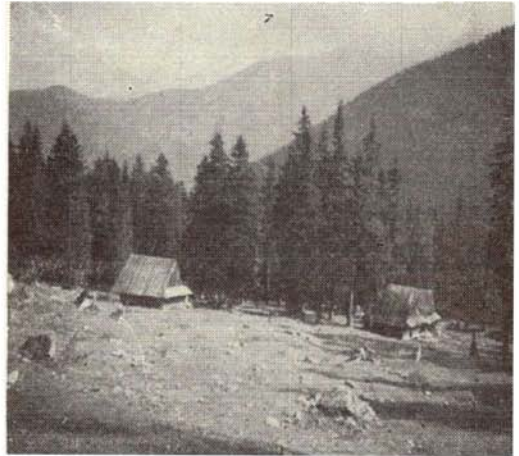
W r. 1981 zostanie zakończona przebudowa obozowiska „Szalasiska”. Rozpoczną się prace remontowe na Rabanisku a także w „Betlejemce”. Po zakończeniu remontu, budynek COS poza okresami szkolenia udostępniany będzie członkom PZA jako baza noclegowa. Równocześnie prowadzone są starania o przyjęcie przez PZA w dzierżawę Starego Schroniska przy Morskim Oku. Zrealizowanie tych planów byłoby równoznaczne ze stworzeniem obozowiska dla taterników na terenie Tatr Polskich.

Zbigniew Skoczylas

SZALASISKA CZYNNE ZIMA

Od 20 stycznia do 10 marca 1981 r. obozowisko PZA na Szalasiskach czynne było — po raz pierwszy w swej historii — w sezonie zimowym. Skorzystało z niego 70 taterników, przez łącznie 620 dni.

Całością kierował, mieszkając w chatce, niżej podpisany. Pobyty trwały przeważnie po 8–10 dni, średnio po 9. Najdłużej, bo cały miesiąc, wytrzymał Krzysztof Łoziński. Warunki pogodowe nie były złe, chociaż temperatury spadały do -25° . Pewne problemy wynikły z zamknięcia z powodu remontu pawilonu przy Włosienicy, gdzie mieszkańcy obozowiska mogliby suszyć mokre rzeczy. Trzeba też



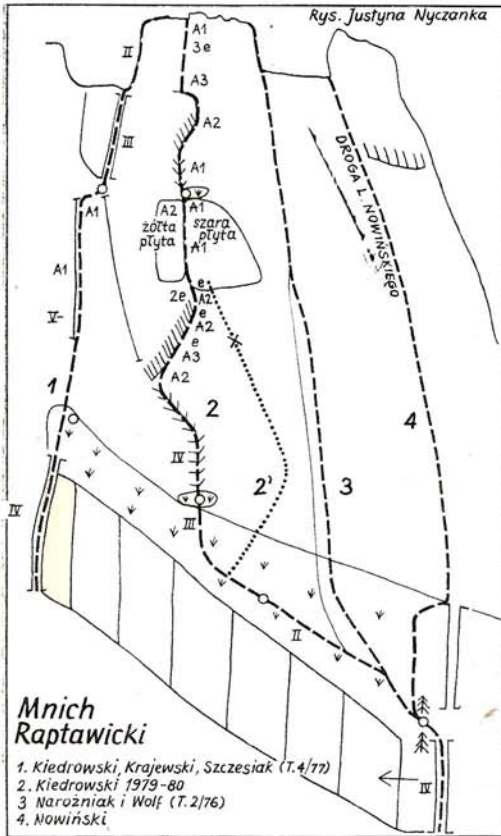
Szalasiska ćwierć wieku temu...

Fot. Józef Nyka

zwrócić uwagę na braki w wyposażeniu poszczególnych zespołów, szczególnie jeśli chodzi o sprzęt biwakowania w zimie. W przyszłości okres zimowej pracy obozowiska należałoby przesunąć na luty i marzec, może nawet także pierwszą połowę kwietnia. Wydaje się, iż celowe byłoby rozwinięcie tatrzańskiego szkolenia zimowego w obozowisku na Szalasiskach, co umożliwiłoby równoczesne zdobywanie doświadczenia w obozowaniu, przydatnego w działalności alpejskiej, a niezbędnego na wyprawach. Nieporozumieniem jest lokowanie obozów szkoleniowo-treningowych w przepięknych schroniskach, w których brak atmosfery górskiej, a możliwości regenerowania sił są mocno ograniczone.

Korzystając z lamów „Taternika” chciałbym serdecznie podziękować za pomoc pracownikom TPN, Ryszardowi Banasiowi, Adamowi Doleżuchowiczowi i Andrzejowi Habinie. Za życzliwy stosunek do wszystkich spraw związanych z taternictwem dziękuję też Kierownictwu schroniska przy Morskim Oku.

Zbigniew Skoczylas



Opis drogi na stronie następniej

KAZALNICA, MLYNARCZYK

Nawiązując do omówienia lata 1980 w T. 4/80 s. 172, pragnę poinformować, że moim partnerem na drodze Czyżewskiego i Kurtyki na Kazalnicy był Władysław Niewiarowski z LKW. Przejścia dokonaliśmy 21 września 1980 w czasie 12 godzin. W pełni podzielamy opinię Kurtyki o wyjątkowym pięknie wspinaczki klasycznej na tej drodze. Uwazamy natomiast, że wyciąg hakowy (4 m A1 oraz wszystkie odcinki A0) udało nam się pokonać klasycznie) jest, ze względu na obecne jego trudności, emocjonująca atrakcja wobec wielu jałowych rządów haków na innych drogach w tej części ściany. 20 września przeszliśmy w 8 godzin filar Kazalnicy Mięsiusiej, prawdopodobnie po raz pierwszy w 1 dzień.

Przy okazji informacji o ukłasyczeniu drogi na Młynarczyku, której jestem współautorem, wyjaśniam, że przejścia czysto klasycznego dokonano wariantem Malczyka i Myszковского (pierwotnie kilka miejsc A0). Biegnie on kilkanaście metrów na lewo od oryginalnych dwóch częściowo hakowych wyciągów (V+, A3), powtórzonych raz tylko, przez Słowaków. Klasyczny obecnie wariant Malczyka łączy się z naszą drogą na trzecim wyciągu. Dalsza część drogi od początku była klasyczna.

Krzysztof Pankiewicz

KOCIOŁ KAZALNICY

W dniach od 10 do 15 lutego 1981 r. przeszedłem samotnie drogę A. Czoka i J. Kiełkowskiego na ścianie pod Kotletem Kazalnicy. Było to trzecie przejście zimowe tej drogi. 10 i 11 lutego zapore-

czowałem ok. 60 m ściany. Podobnie jak uczestnicy dwóch poprzednich przejść zimowych, nie wchodziliśmy na wierzchołek Kazalnicy, lecz zjechałem z niego ostatniego okapu z powrotem w dół. Powodem było duże niebezpieczeństwo lawinowe w Kotle Kazalnicy.

Lech Kiedrowski

OBÓZ KWALIFIKACYJNY PZA 1981

W dniach 15—28 lutego 1981 odbył się w rejonie Morskiego Oka doroczny obóz kwalifikacyjny, zorganizowany jak zwykle przez Komisję Sportową PZA. W obozie udział wzięli: Anna Zachara (Łódzki KW), Leszek Bednarz i Andrzej Marcisz (Krakowski AKA), Stanisław Głazek i Artur Sobolewski (UKA Warszawa), Piotr Wojtek (KW Gliwice), Aleksander Wysoczyński (Sudecki KW) oraz Jerzy Zontek (KW Bielsko-Biała). Jeden z kolegów został skreślony z listy uczestników z powodu braku karty zdrowia sportowca. Kadrę obozu stanowili Andrzej Czok, Elżbieta i Jan Fijałkowski, Bogdan Strzelski oraz Tadeusz Preyzner. Podczas obozu panowała zmienna pogoda — w pierwszym tygodniu wspinaliśmy się więc na krótkich drogach, dwudniowy okres całkowitego załamania przeczekaliśmy w schronisku, a ostatnie 5 dni, kiedy nad Tatrami niemalże nie było chmur, wykorzystaliśmy na przejście kilku poważniejszych dróg. Najlepsze przejścia z udziałem uczestników obozu, to powtórzenie „filara z ostrogą”, „Wielkiego Zacięcia”, drogi „Pająków” oraz drogi Łapińskiego na Kazalnicy. Ponadto dokonano przejść kilku dużych dróg typowo zimowych. Na wyróżnienie zasługuje postawa i forma młodego zespołu z Krakowa, co też znalazło odbicie w typowaniu na wyjazd centralny w Kaukaz. Wykaz przejść znajdzie się w artykule omawiającym cały tatrzański sezon zimowy 1980/81.

Tadeusz Preyzner

KOPY SOLTYSIE

W dniu 1 lutego 1981 harcerze z 1 WDH „Kubuś Puchatek” — P. Barański, A. Bafeltowski, P. Dmytruk, G. Głazek, P. Mikołajczyk, M. Nalborczyk i S. Szpruch przebyli dolną część Jaworzynskiego Żlebu, opisanego w tomie IV WHP przy drogach D 27 i D 28, omijając sam wawóz. Jak się dowiedziałem od W.H. Paryskiego, nie otrzymał on żadnych danych o przejściu tego wawoza, mimo iż zwracał się w tej sprawie do niektórych taterników. Żleb w swej dolnej części tworzy interesującą gardziel skalną z 3 progami. Pierwszy z nich (trudności III) ma ok. 8 m wysokości i jest gładki (co w lecie może nastęrczyć problemy). Środkowy próg jest łatwy, górny zaś ma ok. 20 m wysokości, choć odcinek wspinaczkowy ogranicza się do 8 m (łodospad II—III). Długość skalnej części wawoza wynosi ok. 0,5 km, deniwelacja 80 m. Nie przypuszczałem, że obecnie można w Tatrach dokonywać pierwszych (?) przejść tego typu formacji.

Grzegorz Głazek

O wspinaczkowym przejściu tego wawoza opowiadał mi kilkanaście lat temu zmarły w r. 1970 prof. Kazimierz Guzik (T. 2/71 s. 64), jednakże bez jakichkolwiek szczegółów. Ewentualnych autorów wcześniejszych przejść warto by poszukać wśród wspinających się geologów.

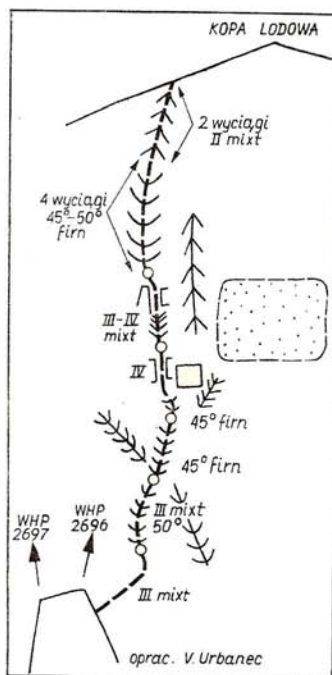
Józef Nyka

UZUPELNIENIE

T. 4/80 s. 179. Chciałbym uzupełnić informację Andrzeja Marcisza „Nowości z Raptawickiej Grani”. Wariant Myszковского do drogi Dudraka przeszedłem klasycznie wraz z Wiesławem Szpilką i Adamem Sidorem latem 1978 r. W kilka dni później drogę tę powtórzyli Krzysztof Zurek i Mieczysław Ziach. Klasyczne przejście Marcisza i Śmigiełskiego z wiosny 1980 r. jest prawdopodobnie trzecim z kolei. Komin Małczki i Krawczyka przeszedłem z Miłoszem Filusem, a drogę Sierpowskiego z Wiesławem Szpilką.

Roch Krokowski

Nowe drogi w Tatrach



KOPA LODOWA

Nowa droga wschodnią ścianą; R. Müller, Hanna Trzaskowska i V. Urbanec 14 I 1980. Trudności IV, czas I przejścia 3 godziny. Wspinaczka typowo zimowa. Szczegóły drogi na rysunku opracowanym przez Urbanca.

Hanna Trzaskowska

RAPTAWICKI MNICH

Nowa droga (warianty) na prawo od komina Malczyka i Poburki, miejscami pokrywająca się z drogą L. Bednarza i A. Marcisz z 29 IX 1980 r.: Stephen McCrory i Roch Krokowski 17 IX 1980. Trudności V, 2 godziny.

Do stanowiska nr 1 (rys. T. 4/80 s. 173) podeszliśmy półkami pod Mnichem Raptawickim. Drugi wyciąg pokrywa się z wymienioną drogą, trzeci obchodzi odpękniałą płytę od dołu i łączy się z drogą Marcisz w kominie. Od stanowiska nr 3 poszliśmy w lewo skrajem płyty pod przewieszkę (V), skąd po przewinięciu się w kominie Malczyka w górę jest już łatwo.

Roch Krokowski

Nowa droga lewą częścią południowej ściany: Lech Kiedrowski ski 25 IV 1979 oraz 26 i 29 VI 1980. Trudności A2 (2 miejsca A3), 8e. Przypuszczalny czas powtórzenia 8 godzin. Szczegóły na

Kropkami przedstawiono wariant, którym próbował przejść ścianę nieznanymi mi zespół pozostawiając w miejscu oznaczonym krzyżykiem hak z pętlą. Drogę przeszedłem etapami z przeszło roczną przerwą, spowodowaną powołaniem mnie do służby wojskowej.

Schemat drogi zamieszczony jest na stronie poprzedniej.

Lech Kiedrowski

KOPA SPADOWA

Nowa droga ścianą czołową zachodniego filara; Andrzej Marcisz i Władysław Vermesy 11 VII 1980. Trudności VI-, 4 godziny.

Droga wiedzie między drogami Skłodowskiego z prawej i tzw. Tetrową cestą z lewej. Środkowy odcinek był przechodzony wcześniej wskutek pobłążeń na drodze Skłodowskiego.

Andrzej Marcisz

MALY MLYNARZ

Nowa droga północno-zachodnią ścianą niższego wierzchołka (dirrettissima): Leszek Kozik i Andrzej Marcisz 2 VIII 1980. Trudności VI, 4 godziny.

Droga wiedzie płytami na prawo od drogi Kurczaba i rozwiązuje środek ściany. Kluczowy jest drugi wyciąg z dużym ciągiem trudności klasycznych. Schematy obu dróg zamieszczamy poniżej.

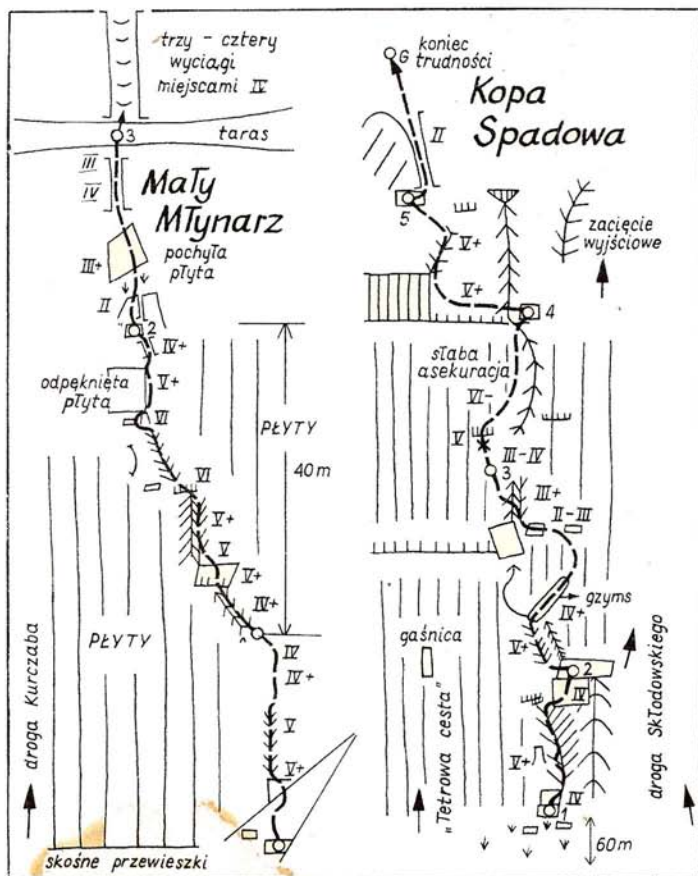
Andrzej Marcisz

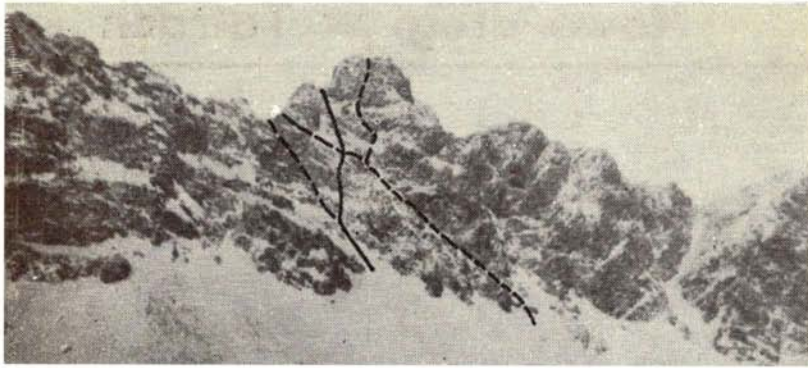
TURNIA NAD SCHODKAMI

I wejście południowo-wschodnią ścianą ostatniej turni w południowej grani Małego Koziego Wierchu, bezpośrednio nad przełęczą Schodki: Grzegorz Głazek i Włodzimierz Knot 26 VII 1979. Trudności V, 1 1/2 godziny.

Z Dolinki Pustej turnia ta wygląda na wybitną, natomiast z gó-

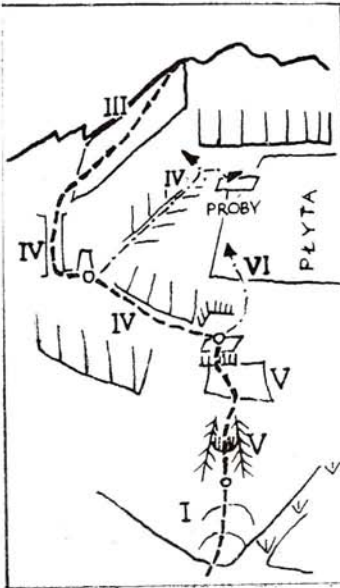
Rysunki: Justyna Nyczanka





W środku Staroleśna (2476 m), na prawo Zwałista Turnia i Zwałista Przełęcz, na lewo — Warzechowe Turnie i Zadnia Nowoleśna Turnia.

Fot. Zbigniew Migdał



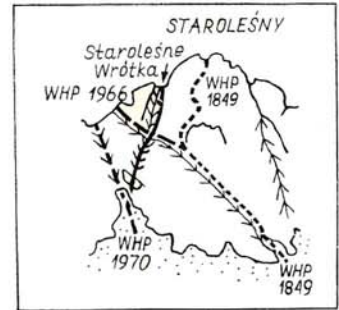
ry widać, że jest to oddzielony drobnym wcięciem odcinek poziomej grani. Jej urwiska tworzą skośnie powywieszane w stronę Dolinki Pustej formacje. Mimo szerokości przeszło 120 m nie były one dotąd, jak się zdaje, zauważane. Nasza ściana ma 80 m wysokości i tyleż samo szerokości. Z prawej strony ogranicza ją filar, za którym znajduje się ściana wschodnia. Początki drogi w najniższej części, wprost w linii spadku najwybitniejszego okapu.

Grzegorz Głazek

STAROLEŚNY SZCZYT

Nowa droga lewą częścią północnej ściany; Zbigniew Migdał i Janusz Szyszko 5 II 1980. Dwa miejsca IV, 3 godziny.

Wspinaczkę zaczynamy z dolnej części żlebu, którym wiedzie droga WHP 1970 na Staroleśną Szczerbinę. Stąd wprost w górę na pochyloną trawiastą półkę, aż pod wyraźną rynną (w ziemie lodospad 30 m). Rynną do żlebu spadającej-



Nowa droga zaznaczona jest linią ciągłą.

go ze Staroleśnych Wrótek (przeznaczamy w tym miejscu drogę WHP 1966). Następnie wprost po skałkach ograniczających z prawej strony żleb, aż do Staroleśnych Wrótek.

Zbigniew Migdał

Wyprawy w góry egzotyczne

CSRS – WYPRAWY ROKU 1980

W ciągu r. 1980 w Himalajach działały dwie wyprawy czeskie. W sezonie przedmorsunowym grupa Annapurny była celem wyprawy TJ Vyšehrad z Pragi. Z Státný i S. Benedikt weszli nową drogą (północno-zachodnią granicą, IV, lód 50°) na szczyt *Siri Kamche* (6483 m). Jesienią — jak to już podał T. 4/80 s. 163 — normalną drogą na Manaslu usiłowała wejść wyprawa kierowana przez Dinę Šterbovą. Miała ona wydzieloną grupę kobietę. Z powodu bardzo złej pogody z wysokości 7100 m nastąpił odwrót. Panie J. Koukalová i B. Marušincova dokonały wejścia na *Manaslu North* (7050 m) — jako pierwszy zespół czysto żeński.

Z początkiem roku kilka zespołów prowadziło działalność w Afryce, dokonując pierw-

szych przejść w masywach Ruwenzori, Kenya i Kilimandżaro. W masywie Kenya wytyczono m. in. nowe drogi północną ścianą Point John (V+, A4, 17—19 stycznia — Z. Drlik i P. Placheczký) oraz zachodnią ścianą Batian (V+, 5—6 lutego — Z. Drlik solo). Sprawozdanie P. Puškáša z Kilimandżaro zamieszcza „Jame-sak” 2/1980 na s. 25.

W górach Ameryki bawiło kilka grup Czechosłowackich. Wyprawę słowacką na *Mount McKinley* omówiłem w T. 1/81 s. 22. Równolegle działała także czwórka Czechów (zob. s. 90). W Ameryce Południowej gościła 10-osobowa wyprawa HZ UV ČSSTV — zrobiono 5 wejść w Cordillera Blanca i Cordillera Huayhuash, m. in. nową drogą zachodnią ścianą Yerupaja (29 czerwca—2 lipca, J. Beneš i M. Nosek oraz J. Rakončaj i J. Stejskal).

Znakomicie spisały się nasze grupy w Pamirze. Większość ich członków zaliczyła po 3 lub 2 siedmiotysięczniki. Z. Demján i P. Valovič przeszli w dniach od 30 lipca do 4 sierpnia północną ścianę *Pika Kommunizma* drogą Biezzubkina (V+, 70°), zaś K. Jakeš i B. Mrózek — lodowy lewy filar północno-wschodniej ściany *Pika Moskwa* (25—29 lipca, V+, 50—80°, nowa droga). Szczegóły w „Jamesaku” 2/1980 s. 26.

Miloslav Neumann

WYSOKA PIELGRZYMKĄ

Jak donosi „Climber and Rambler” (1/1981), oryginalne zadanie realizuje ks. Piers Grant-Ferris, który zamierza odprawić msze święte na najwyższych szczytach wszystkich 6 kontynentów. Łatwiejszą połowę — Mont Blanc, Kilimandżaro i Aconcagua — ma już za sobą. Na Aconcagua o mało nie pozostał na zawsze. Odlączył się od partnera i schodził w innym kierunku — przez kilka dni był uznany za zaginionego. W planie ma 3 dalsze wejścia: na Mount Cook (Nowa Zelandia), Mount Vinson (Antarktyka) i Mount Everest. Sam nie bardzo wierzy w powodzenie, pozostały mu bowiem szczyty niełatwe i trudno dostępne. „Jeśli nawet nie wejść na czubek Everestu — mówi — po prostu odprawię mszę na stoku, w najwyższym punkcie jaki mi się uda osiągnąć.”

Z zamiarem wejścia na Aconcagua odleciał z Londynu 40-letni inwalida, Norman Croucher, który 20 lat temu w wypadku kolejowym stracił obie nogi. W drugiej połowie lata uda on się w Himalaje i spróbuje wspiąć się na Nun (7135 m). Oba wejścia mają być akcentami Międzynarodowego Roku Ludzi Kalekich, wykazującymi, że „nie wszystko stracone”.

ROK 1980 W PAKISTANIE

W górach Pakistanu działały latem 1980 r. 32 wyprawy z 10 krajów z łączną liczbą ok. 160 uczestników. Jak zwykle przoduje Japonia: 9 wypraw i 60 ludzi. Po 5 wypraw zorganizowały Anglia, USA i Francja, 3 wyprawy — Hiszpania. Tylko 10 wypraw (a więc mniej niż 1/3!) zdołało zrealizować swe zamierzenia. Wejść dokonano na Mitre Peak (6010 m), Baltoro Kangri (7312 m), Mount Ghent (ok. 7400), Gasherbrum I (8068 m), Gasherbrum II (8035 m), Gasherbrum IV (7925 m), Mango Gusor 29 (6288 m), Uzun Brakk (6422 m), Yutmaru Sar (ok. 7330 m), Disteghil Sar (7700 m) oraz Yazghil Dome (7400 m). Największy ruch panował w dystryktach Skardu (20 wypraw) i Gilgit (7 wypraw). W Hindukuszu działały wyprawy amerykańska i kanadyjska — obie w masywie Tirich Mir i obie bez sukcesów. Nie powiedła się też żadna z trzech wypraw na Nanga Parbat. Władze pakistańskie otrzymały przed sezonem 72 aplikacje i wydały 50 zezwoleń.

Hans-Dieter Greul

NOWE DROGI W VILCANOTA

Latem 1980 r. w Cordillera Vilcanota wspiął się 10 alpinistów jugosłowiańskich. Meldują oni o wejściu na 10 szczytów. Dwójki Igor Radovič i Zdenko Žagar oraz Stanko Mihev i Rok Kolar pokonały rozległą i w całością dziewiczą wschodnią ścianę Pico Tres (Jatunhuma, 6093 m — 31 V—2 VI). Trudności oceniono na V/IV. W parę dni później (7—9 VI) Kolar i Mihev poprowadzili drogę 750-metrową południową ścianą Pachanta (Nevado Puca Punte, 5727 m). Stromość lodu na dwóch odcinkach osiągnęła 80°, trudności oceniono na VI. Jest to obecnie, zdaniem kierownika wyprawy Marijana Lačena, najtrudniejsza droga w całej Cordillera Vilcanota. Na pamiątkę zmarłego prezydenta i marszałka, nazwano ją „Titova smer”. Opisy i schematy obu dróg zamieszczają „Alpinistični razgledi” 9/1980.

BALTORO KANGRI 1980

Nasz zespół wyruszył ze Skardu 5 maja, zaś bazę na Południowym Lodowcu Gasherbrum rozbił 19 maja. Przetrawersowanie trudnego lodowca zajęło nam tydzień, po czym założyliśmy bazę wysuniętą (5600 m). Na Przełęczy Conwaya znaleźliśmy schronienie w grocie lodowej, w której zaskoczyło nas 3-dniowe załamanie pogody. Po przeczekaniu zawieruchy, z mozołem piliśmy się ku górze w głębokim śniegu, biwakując w pieczarach lodowych na 6600 i 6900 m. W dniu 6 czerwca cała szóstka (siódmy uczestnik wycofał się na lodowcu z powodu choroby) stanęła na szczycie Baltoro Kangri (7312 m). Trójka — Jeremy Richard Stock (kierownik wyprawy), Harry Rankin i dr Peter Alston — w 6 godzin zjechała na nartach ze szczytu aż do bazy. Końcówka zjazdu odbywała się w bardzo złym śniegu, w ciemnościach, a w dodatku bez asekuracji. Pozostali trzej — Brian Hall, Phil Ham i Ian Gray — powrócili do bazy dzień później. Ustanowiliśmy rekord wysokości zjazdu na nartach ze szczytu, niebawem pobity przez Amerykanów w Chinach.

Jess Stock

WYPRAWA PRZEZ AMERYKĘ

Anglicy Steve Vincent i Dave Adams, alpinści i globetrotterzy, odbyli w r. 1980 oryginalną podróż. Na Alasce zrobili 2 nowe drogi — po 10 wyciągów każda — w otoczeniu lodowca Kahiltna, następnie zaś w ciągu 4 dni nową drogę (właściwie duży wariant) na południowej ścianie Mount McKinley. W przejeździe przez Stany Zjednoczone zaliczyli kilka dróg w Yosemite. W Meksyku weszli na Popocatepetl i Citlaltepētēl, by następnie na dłużej zatrzymać się w Peru. Powtórzyli tu kilka dużych dróg, wytyczyli też 2 nowe — na Nevado Veronica i Nevado Uras. Zrobili jeszcze nową drogę na jeden z wysokich szczytów w Chile, a „padli” dopiero na Acon-

cagua, gdzie — z powodu spóźnionej pory — zastali warunki uniemożliwiające wejście. Wyprawę finansowała firma „Fuji Film”, Steve i Dave nie wywiązali się jednak z kontraktu, gdyż w Rio de Janeiro skradziono im w hotelu cały sprzęt fotograficzny i gotowe filmy. („Climber and Rambler” 3/1981)

* „Wejścia bez zezwoleń a etyka alpinistyczna” — temat ten poruszyły ostatnio „Mountain” nr 75 oraz „Planinski Vestnik” 1/1981. Punktem wyjścia rozważań są wycieczny Francuzów Ivana Ghirardiniego i Yannicka Seigneura w Karakorum. Oba pisma stwierdzają, że wykroczenia jednych przynoszą szkody innym, a przecież alpinizm narodził się kiedyś jako „sport džentelmenów”.

* Z okazji Dnia Kobiet 1981 wychodzący w Sofii tygodnik „Echo” zamieścił duży materiał „Mount Everest — po damsku”, prezentujący sylwetki zdobywczyń tego szczytu: Japonki Junko Tabei (16 maja 1975), Tybetanki Phantog (23 maja 1975), Wandy Rutkiewicz (16 października 1978) i Hannelore Schmatz (2 października 1979). Ta ostatnia zmarła, niestety, podczas zejścia.

* Naszych specjalistów od Himalajów Kishtwarskich zainteresuje wiadomość o I wejściu na Flat Top (6100 m) pomiędzy Brammah I i Brammah II. Dokonali go latem 1980 r. Pete Finklaire, Murray Hodgson, Roger Phillips, Rod Wilson i Jenny Postance, członkowie Klubu Górskiego Royal Aircraft Establishment.

Różne góry, różne lata

POD ALPAMAYO I HUASCARAN

Klub Tatrzański OM PTTK w Szczecinie zorganizował latem 1980 r. wyprawę w Andy Peruwiańskie. Jej uczestnikami byli: Józef Bryła (kierownik), Marek Lackorzynski, Helena Rodziewicz (lekarz), Eleonora Sobolewska oraz Andrzej Woźnicki (mieszkający w USA). Wyprawa odleciała z kraju 28 lipca, a już 2 sierpnia dotarła do Colcas. W dniach 5 i 8 sierpnia założono bazę nad jeziorem Jatuncocha oraz bazę wysuniętą na wysokości przeszło 5000 m. pod Alpamayo. 12 sierpnia Bryła i Woźnicki wyruszyli z tej drugiej i w 18-godzinnej wspinaczce w terenie lodowo-śnieżnym dokonali wejść na 3 wzniesienia we wschodniej grani Alpamayo, oznaczone kotami 5369, 5474 i 5524 m. Następnego dnia,

13 sierpnia, Bryła, Rodziewicz i Woźnicki podeszli z bazy głównej pod ścianę szczytu Nevado Pomapampa (5733 m). Rodziewicz wróciła z powrotem zaś dwaj pozostali przetrawersowali rynnę skalną (IV+) a następnie wspinali się w górę najpierw terenem skalno-lodowym (IV), a wreszcie lodowo-śnieżnym na szczyt. Brak jest informacji o ew. wcześniejszych wejściach.

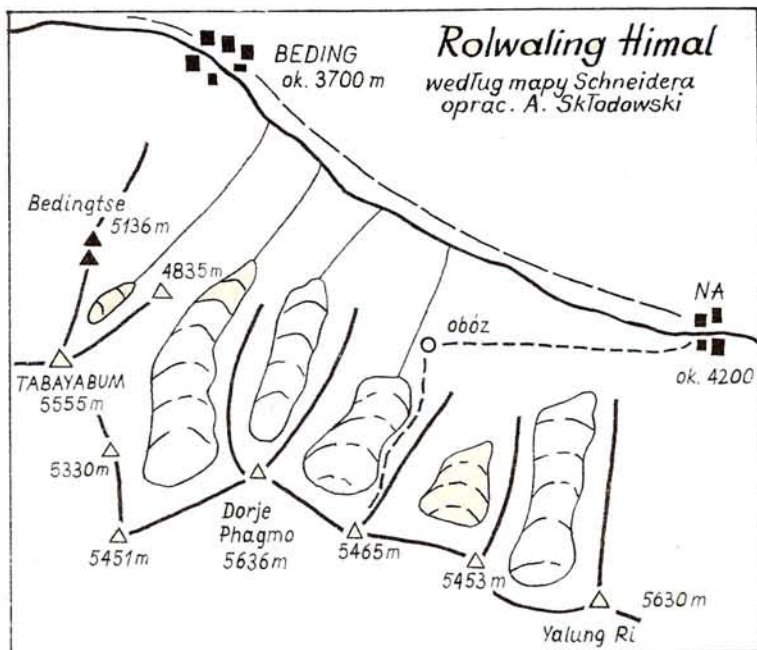
15 sierpnia zlikwidowano bazę i przerzucono się samochodem do doliny Llanganuco, pod Huascarán, rozbijając namioty za drugim jeziorem. 24 sierpnia Bryła dokonał samotnie wejścia na Huascarán Sur (6768 m), co było czwartym lub piątym polskim wejściem na ten szczyt.

W rejonie Alpamayo bawiły m.in. wyprawy francuska, hiszpańska, amerykańska i niemiecka.

Szczyty w grani Alpamayo przebyte przez J. Bryłę i A. Woźnickiego.

Fot. Józef Bryła





Z wyjątkiem dwóch wierzchołków Bedingtse (T. 2/79 s. 59) — wszystkie szczyty dziewicze.

Rys. Justyna Nyczanka

Wskutek oberwania się seraków, na grani Alpamayo zginęło 2 Francuzów, były także 2 ciężkie wypadki alpinistów francuskiego i amerykańskiego. W dniu 10 sierpnia wyprawa szczecińska udzieliła pomocy lekarskiej Hiszpanowi, który został zniesiony z kropłówką z lodowca pod Alpamayo. Niekorzystne warunki atmosferyczne powodowały, że kilka razy wzywany był helikopter. Skład naszej wyprawy był inny od zaplanowanego, gdyż na miesiąc przed wyjazdem zrezygnowano z udziału w niej 4 kolegów ze Szczecińskiego KW, m.in. Tadeusz Rewaj.

Józef Bryła

W ROLWALING HIMAL 1981

Wiosną 1981 r. (21 marca — 4 maja) wybraliśmy się wraz z Krzysztofem Renikim w Rolwaling Himal — rejon Himalajów dobrze nam znany z wyprawy sprzed dwóch lat (T. 2/79 s. 59). Pogoda dopisywała, ale w górach było dużo świeżego, niezwiązane śniegu, którego pokrywa utrzymywała się mniej więcej od wysokości 4000 m (jesienią 1979 r. śnieg zalegał o 1000 m wyżej). Wraz ze spotkaniem w górach Benonem Czechowskim postanowiliśmy w trójkę dokonać wejścia na jeden z licznych dziewiczych jeszcze 5-tysięczników Rolwalingu, w cyrku łączącym na południowy wschód od wioski Beding.

6 kwietnia dotarliśmy z Beding do osady pasterskiej Na (ok. 4200 m), by następnego dnia — torując w świeżym śniegu miejscami po kolana — osiągnąć wysokość ok. 5000 m. Po przenocowaniu w namiocie zaatakowaliśmy dziewiczy szczyt, mający na mapie Schneidera kotę 5465 m i wznoszący się bezpośrednio na południowy wschód od strzelistego, niezdojonego szczytu Dorje Phagmo (5636 m). O godzinie 1 w nocy opuściliśmy namiot i około godziny 6 rozpoczęliśmy wspinaczkę długim skalno-śnieżnym północno-wschodnim zboczem. Nastrożono trudności techniczne typu tatrzańskiej „czwórki” i wymagało starannej, sztywnej asekuracji. O godzinie 11.30 dotarliśmy na grani szczytową. Stwierdziliśmy wówczas, że kota podana na mapie musi być błędna, gdyż wybrany przez nas cel jest przynajmniej o 100 m wyższy od sąsiedniego Dorje Phagmo. Ma on prawdopodobnie wysokość ok. 5700 m. Niestety w południe — na skutek niedyspozycji jednego z nas — zmuszeni byliśmy

podjąć z zalem decyzję o odwołaniu. Do wierzchołka brakowało nam wówczas ok. 400 m grani o różnicy poziomów 120–150 m i — jak się wydawało — nie-trudnej technicznie. Wycofaliśmy się (częściowo zjazdami) dość ryzykownie kulaurem na prawo od naszego żebra. Następnego dnia zeszliśmy w dolinę.

Andrzej Skłodowski

W REJONIE ORTLERA

Jako uzupełnienie notatki zamieszczonej w T. 4/80 s. 181 chciałbym podać, że w latach 1976–80 w rejonie Ortlera przebywało 7 obozów turystyki wysokogórskiej środowiska krakowskiego, prowadzonych przez przewodników J. Kondyjiowskiego, K. Liszke, A. Pacyne, A. Marchaja i W. Przybyłowicza. Dokonano m.in. wejścia na Ortler dość trudną południowo-wschodnią grania (Hintergrat), kilku wejść na Cevedale i Gran Zebru, nie licząc wejść na niższe szczyty rejonu, jak Tresero, Vertana, Venezia, Gioveretto, Livi Palon de la Mare i inne. Dzięki współpracy SGR SOP z miejscowym parkiem Stelvio korzystaliśmy z parkowej bazy noclegowej, a nawet pomocy w dojazdach. Możemy służyć szczegółowymi informacjami, bowiem rejon jest rzeczywiście ciekawy, posiada rozbudowane ośrodki narciarstwa letniego, a na Gran Zebru prowadzi piękne drogi lodowe, porównywalne z wschodnią ścianą Mont Blanc.

Kazimierz Liszka

AKA KATOWICE W DOLOMITACH

Na przełomie lipca i sierpnia 1980 przebywała w Dolomitach grupa członków AKA z Katowic w składzie: Kazimierz Grodzki, Piotr Kuś, Barbara Metz, Janusz Nabrdalik, Jan Nowak, Marek Płonka, Marek Pronobis (kierownik) i Marcelina Rymer. Pogoda, jak chyba wszędzie w tym roku, była fatalna — długotrwałe opady deszczu a nawet śniegu, liczne burze i huraganowe wiatry. Nie mogło to pozostać bez wpływu na poziom przejść, mimo to niektóre z nich zasługują na uwagę. Mam szczególnie na myśli osiągnięcia Nabrdalika i Płonki, którzy w doskonałym stylu nawiązali do aktualnych tendencji ukłasyfikowania starych dróg ha-

kowych. A oto wybór kilku przejść, przy czym obok przewodnikowej oceny podana jest (w nawiasie) ocena indywidualna, charakteryzująca styl przejścia:

Tofana di Rozes. Primo Spigolo, V — B. Metz i Franz Kraxberger 6 VII 1980

Tre Cime di Lavaredo — Cima Piccolissima. Droga Cassina, V A1 (VI, 3×A0) — J. Nabrdalik i M. Płonka 20 VII. *Spigolo Giallo*, droga Comicio, VI A1 (VI) — J. Nabrdalik i M. Płonka 19 VII. *Cima Grande* — droga Comicio, VI A2 (VI 2×A0) — J. Nabrdalik i M. Płonka 25 VII. *Cima Ovest* — filar Wiewiórek, VI A2 — K. Grodziski i M. Pronobis 23—24 VII. *Punta Fiammes* — prawie ograniczenie filara, VI — P. Kuś i J. Nowak 3 VIII (I przejście polskie).

Civetta. Cima della Busazza — droga Vernotta, VI A1 (VI) — J. Nabrdalik i M. Płonka 1 VIII (I przejście polskie). *Torre Trieste* — droga Cassina, VI A2 (VI, 4×A0) — J. Nabrdalik i M. Płonka 3 VIII.

Ponadto Barbara Metz przeszła jeszcze kilka dróg w Austrii, w tym Martinswand w pobliżu Innsbrucka droga Auckenthalera, V— (z N. Hochmairem, 19 VII). W uzupełnieniu chciałbym dodać, że obóz ten, zorganizowany przy współudziale RU SZSP Uniwersytetu Śląskiego i Almaturu w Katowicach, był dla większości uczestników pierwszym wyjazdem w Dolomity.

Marek Pronobis

ZIMĄ W GÓRACH BUCEGI

Na przełomie grudnia i stycznia 1981 r. zorganizowano wyjazd w góry Bucegi w Rumunii — firmowany przez AKA Wrocław. Uczestniczyli w nim: Maria Szenk (UKA Warszawa), Piotr Barabaś i Janusz Charatonik (AKA Wrocław). Zamieszkałszy w niezagospodarowanym schronisku w dolinie Coștila. Zrobiliśmy następujące przejścia:

Tancul Ascuit. Droga Incepătorului III B — M. Szenk, P. Barabaś i J. Charatonik, 26 XII 1981. Droga Revelion 74, IVA — M. Szenk, P. Barabaś i J. Charatonik, 29 XII. Południowym katem, IVA — M. Szenk i P. Barabaś, 6 I.

Peretele Gălbineleior (2400 m). Północną ścianą, droga Furcilor, IVA — M. Szenk, P. Barabaś i J. Charatonik, 30 XII.

Tancul Mic (2000 m) — południową ścianą, droga Hermann Buhl, VA — P. Barabaś i J. Charatonik, 2 I.

Peretele Văii Albe — do zachodu. Aeriană, rynną Policandrulei, IIIA (?) — M. Szenk, P. Barabaś i J. Charatonik, 3 I.

Charakterystykę dróg podaje według przewodnika W. Kargela „Alpine Anstiege der Karpaten”. Ogólnie biorąc, wspinaczki zimowe w górach Bucegi nie są popularne, chociaż rejon jest bardzo interesujący i urozmaicony, a atrakcyjność przejść zwiększają trudny dostęp do ścian i zejścia, wymagające czasem asekuracji. Rumuni twierdzą, że najkorzystniejsze warunki zimowe panują na początku lutego. My zastaliśmy w ścianach pełną zimę — z lodem i dużym zaśnieżeniem.

Koszty naszego wyjazdu ograniczyły się do opłacenia biletu kolejowego i zrealizowania wymiany bonu tranzytowego. Większość żywności trzeba było jednak zabrać z kraju.

Maria Szenk

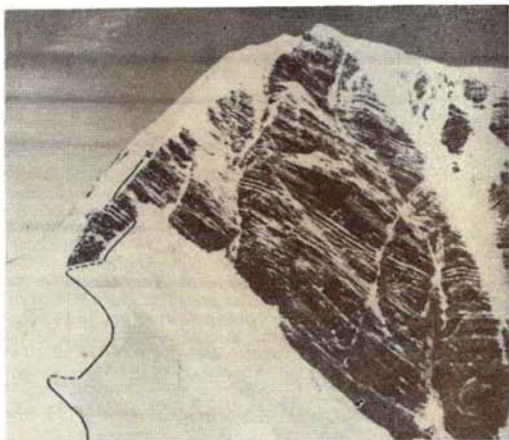
KAM W HIMALAJACH NEPALU 1978

Janina Dąbrowska, Zdzisław Antoniewicz, Grzegorz Benke (kierownik), Jan Namysłowski i Lesław Sęk wyjechał z Warszawy posiadając wstępne zezwolenie IMF na atakowanie Nanda Devi w Himalajach Gahrwalu. Zezwolenie to zostało cofnięte. Korzystając z dogodnych warunków finansowych, oferowanych dla małych grup przez Nepal Mountaineering Association, udaliśmy się do Nepalu. Koszta wyniosły: zezwolenie 315 rupii od osoby, oficer łącznikowy (sympatyczny Tendi Sherpa z Kathmandu, który zorganizował nam całą karawanę i był bardzo pomocny) — 30 rupii dziennie.



Chulu West z obozu w dolinie. Droga wiodła granią na tylnym planie — do drugich skałek na śnieżnym stoku pod wschodnim szczytem. Główny wierzchołek na lewym skraju zdjęcia.

Fot. Grzegorz Benke



Wschodnia ściana Chulu West z biwaku na wschodniej grani. Oznaczono przebieg górnego odcinka drogi i osiągnięty punkt.

Fot. Grzegorz Benke

Działalność nasza prowadzona była w rejonie szczytu Chulu West (6630 m lub 6583 m) w grupie Peri Himal, po północnej stronie głównej grani Himalajów (za Annapurna Himal). Karawana podejściowa z Dumre do Braga, doliną Marsyandi Khola, trwała 8 dni. Po założeniu obozu na wysokości ok. 4300 m i po rekonesansach, osiągnęliśmy 15 września wysokość ok. 5850 m na wschodniej grani Chulu West (Dąbrowska, Namysłowski, Benke). Była to pierwsza próba przejścia tej grani, w części skalnej i niezwykle kruchej. Kończący się okres zezwolenia (udzielonego tylko na 2 tygodnie) i wiz nepalskich uniemożliwił powtórna próbę.

W zwiedzonej przez nas dolinie granica wiecznych śniegów przebiega dość wysoko (ok. 5000 m), co nadaje krajobrazowi charakter tybetański, chwilami zaś wygląd swojski, „tatrzański”. Szczyt Chulu West został zdobyty przez wyprawę, która działała w tym rejonie po nas, jesienią 1978 r. Wejścia dokonano przez zachodnią grani.

Grzegorz Benke

„TATERNIK” O SOBIE

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza na bieżąco śledzi dystrybucję swoich czasopism. Z arkusza analitycznego za II półrocze 1980 wynika, że „Taternik” rozchodził się niemal w całości drogą pozarynkową. Prenumerata krajowa wynosiła 4757 egzemplarzy (81,3% całości nakładu). Największymi odbiorcami były ośrodki: Warszawa (1039), Katowice (632), Kraków (608), Poznań (314), Łódź (301), Bielsko-Biała (274), Nowy Sącz (215), Gdańsk (209), Wrocław (182) i Rzeszów (117). Pięćdziesiąt pozycji arkusza, to jednocześnie wskaźnikowa lista obrazująca procentowy rozrzut taterników i alpinistów na terenie Polski. Z całego nakładu „Taternika” do sprzedaży egzemplarzowej trafiły w II półrocze 1980 zaledwie 354 zeszyty (6%), z czego 141 otrzymywała Warszawa. Oficjalna prenumerata zagraniczna (nie obejmująca wysyłki „koleżeńskie”) wzrosła do 733 egzemplarzy (12,5% nakładu).

BULGARSKI COS

Centralna Szkoła Górską „Małowica” ogłosiła wyniki szkoleniowego roku 1980, który był dość nietypowy z uwagi na jej obciążenia imprezami (alpinada, ski-rally) oraz usługami na rzecz wyprawy na Lhotse. Mimo tych przeszkód przeszło 1215 osób w 14 półroczach — m.in. 134 ratowników, 106 przewodników, 128 alpinistów I stopnia, 122 alpinistów II stopnia, 28 instruktorów alpinizmu, 55 instruktorów jaskiniowych. Realizowany obecnie plan szkoleniowy na rok 1981 obejmuje 1790 osób. Szkoła dysponuje kompleksem budynków i jest doskonale wyposażona. Kieruje nią dyrektor Paweł Dimitrow.

ALPINIŚCI BEZ GÓR

Holandia nie ma własnych gór, mimo to Królewskie Holenderskie Towarzystwo Alpejskie — Koninklijke Nederlandse Alpen Vereniging — zrzesza poprzez 23 koła terenowe około 5000 członków. Istnieje ono 80 lat i jest bardzo ruchliwie organizacyjnie. Wybudowało schroniska w Alpach, wydało 3 pisma górskie: miesięcznik „Berggids”, biuletyn miesięczny

głównie w Alpach, ale także w Pirenejach, górach Norwegii i Jugosławii, Afryce, Ameryce i Azji. Wszystkie imprezy są odpłatne, jednak skalkulowane przystępnie — 17 z nich to kursy dla początkujących. Na rok przyszedł KNAV przygotowuje wyprawę na Mount Everest od strony chińskiej.

WIĘSCI Z KW WARSZAWA

Na przełomie lat 1980—81 zaszło w KW Warszawa kilka istotnych zmian personalnych. W listopadzie 1980 r. Zarząd Klubu wybrał w tajnym głosowaniu nowego prezesa — został nim Tadeusz Preyzner. Następnie w listopadzie i marcu dokooptowano dwóch nowych członków Zarządu — Marka Pokszana, któremu powierzono sprawę propagandy i informacji, oraz Michała Tokarzewskiego, który prowadzi sprawę tatrzańskie i bezpieczeństwa. Wiceprezesami są Andrzej Marczak, kierujący szkoleniem, oraz Janusz Kurczab, zatrudniony na etacie trenera. Pozostali członkowie Zarządu to: Wanda Tadeusiak — etatowy sekretarz, Mirosław Dąbrowski — skarbnik, odpowiedzialny za sprzęt, Jan Wolf — szef sportu, wreszcie Zbigniew Szczepkowski, kierujący Sekcją Taternictwa Jaskiniowego. Z Zarządem współpracują stale Krzysztof Zdzitowiecki — przewodniczący Komisji Dyscyplinarnej — oraz Henryk Wenerski — przewodniczący Sekcji Narciarstwa Wysokogórskiego (por. T. 1/81 s. 31). Obecny Zarząd stara się poprawić poziom działalności sportowej członków Klubu, przy założeniu jej wszechstronności: od skalek i Tatr aż po góry najwyższe. Duży nacisk kładziemy na odpowiedni poziom szkolenia. W działalności tatrzańskie popieramy także samodzielnie wspinające się zespoły, w górach wyższych organizujemy obozy wspinaczkowe, narciarskie i jaskiniowe. W planach sportowych na lata 1981—83 znajdują się trzy wyprawy himalajskie i jedna w Andy. Od dłuższego czasu bezskutecznie staramy się o uzyskanie zezwolenia na prowadzenie działalności gospodarczej oraz o przydział lokalu.

Tadeusz Preyzner

Odnotujemy przy sposobności zaszło w ostatnich latach zmiany na stanowisku prezesa KW Warszawa, największego z klubów zrzeszonych w PZA (750 członków). Do stycznia 1978 r. prezesem był Janusz Kurczab, który ustąpił, obejmując etat trenera. Na jego miejsce prezesem wybrano Halinę Krüger, która sprawowała tę funkcję do Walnego Zebrania w dniu 10 stycznia 1980 r. Zebranie to wybrało zarząd w następującym składzie: Wanda Tadeusiak, Mirosław Dąbrowski, Janusz Kurczab, Andrzej Marczak, Tadeusz Preyzner, Zbigniew Skoczylas, Tadeusz So-

licki, Zbigniew Szczepkowski i Jan Wolf. Prezesem został Zbigniew Skoczylas, który ustąpił w czerwcu 1980 r. Do listopada obowiązki prezesa pełnił Andrzej Marczak. Z Zarządu wycofał się też T. Solicki.

ZE ŚWIATA

● Bułgarski Związek Turystyczny prowadzi intensywną rozbudowę swej bazy schroniskowej. W ciągu ostatnich 4 lat stanęło 90 nowych schronisk i domów wycieczkowych z 5400 miejscami noclegowymi — przeważnie w górach, gdyż one są głównym terenem działania BTS. Na XII Kongres BPK oddano do użytku schronisko „Rusalka” (110 m) na stokach Trigława w Starej Planinie oraz nowy budynek (88 miejsc) w zespołach schroniskowym „Małowica”. (Ruen Krumov)

● Gruziński Klub Alpejski — „Gruzałpklub” — powstał w r. 1936 i nosi imię Aloszy Dżaparidze. Z sukcesami jego członków wiążą się „drogi gruzińskie” m.in. na Uzbie i Piku Komunizma. Najwybitniejszym wychowankiem klubu był Michaił Chergiani, na którego cześć urządziła się obecnie doroczne zawody wspinaczkowe.

● Komisja Młodzieżowa UIAA organizuje od paru lat spotkania „alpinistów” w wieku od 10 do 16 lat. W tym roku gościć ich będzie Alpenverein Südtirol w jednym ze swych schronisk we wschodnich Dolomitach. Przygotowanie jesiennego obozu dla kierowników grup młodzieżowych UIAA wzięło na siebie Królewskie Holenderskie Towarzystwo Alpejskie. Tematem będzie nauka orientacji w górach.

● Planinska zveza Slovenije osiągnęła w r. 1980 liczbę 102 412 członków, w tym 55 953 zwyczajnych, 17 075 młodzików i 29 384 pionierów. W ciągu ostatniego roku przystość wyniósł 2642 osoby. Drugi co do wielkości w Jugosławii, Planinarski savez Hrvatske, zrzeszał w r. 1980 około 100 towarzystw z łączną liczbą 29 500 członków (w ciągu roku przybyło 1160 osób). Jego zarząd ma m.in. komisje Alpinizmu, Speleologii, Ochrony Przyrody, Biegów na Orientację, a także Komisję Zastug, która nadaje odznaki i plakietki PSH. (Franci Savenc)

PERSONALIA

● Podczas obrad XVI sesji Koła Grodzkiego PTTK w Krakowie przyznano członkostwo honorowe PTTK i Złotą Odznakę tego Towarzystwa *Papiełowi Janowi Pawłowi II* za całokształt działalności turystycznej, głównie górskiej. Karol Wojtyła jest członkiem Koła Grodzkiego od r. 1951. Chodził dużo po Tatrach, w zimie zaś uprawiał turystykę narciarską, zwykle z Jaszczurówki, gdzie się zatrzymywał.



„Bergflits” oraz informator sezonowy, urządza dziesiątki kursów, obozów i wypraw trekkingowych. 40-stronicowy „Zomerprogramma 1981” (program letni) obejmuje 110 takich imprez centralnych —

● Delegaci uczestniczący w Walnym Zjeździe Oddziału PTTK Ochota w dniu 31 stycznia 1981 r. podjęli uchwałę dotyczącą nadania Oddziałowi imienia *Wawrzynca Zulauskiego*, wybitnego taternika, alpinisty, działacza turystycznego i pisarza górskiego, przy tym mieszkająca Ochoty. Oddział zamierza wybić medal pamiątkowy.

● Prezes PZA, dr hab. *Andrzej Paczkowski*, otrzymał w ubiegłym roku trzy znaczące nagrody. Jego książka „Prasa i społeczność polska we Francji 1920–40” („Ossolineum”, Wrocław 1979) została wyróżniona Nagrodą im. Floriana Znanieckiego, zaś za książkę „Prasa polska 1918–1939” (PWN, Warszawa 1980 — 530 stron) otrzymał nagrody „Miesięcznika Literackiego” a następnie Sekretarza Naukowego PAN.

● Prezydent Austrii udekorował Złotym Krzyżem Zasługi *Toniego Hiebelera*, alpinistę i publicystę górskiego. W miesiąc później otrzymał on też Złotą Odznakę Honorową za Osiągnięcia w Sportcie. Urodzony w r. 1930 w Brengencji, dokonał on wielu pierwszych wejść w Alpach, m.in. i zimowych przejść ścian Eigeru i Civetty. Napisał ok. 20 książek, a w r. 1947 zorganizował w OeAV młodzieżowy ruch alpinistyczny.

● 24 lutego 1981 r. skończył 70 lat rektor AWF w Katowicach, *dr Włodzimierz Reczek*. W latach gimnazjalnych i studenckich uprawiał narciarstwo i taternictwo, od 1950 do 1954 był prezesem PTTK, zaś przez 21 lat (1952–1973) kierował

resortem kultury fizycznej. Polski alpinizm, zwłaszcza wyprawowy, ma Jubilatowi ogromnie wiele do zawdzięczenia.

● Z dniem 1 marca 1981 opuściła redakcję „Poznaj Świat” *Helena Stawinska*, współtwórczyni tego popularnego miesięcznika i jego sekretarz od r. 1955, czyli od początku istnienia. Taterniczka lat sześćdziesiątych, zaprzyjaźniona z czołowymi alpinistami — J. Długoszem, Cz. Momatiukiem, S. Bielem, A. Skoczylasem, J. Krajskim i innymi — dbała o stałą obecność tematyki górskiej na łamach pisma, które często wyręczało „Taternika”.



Jako uzupełnienie do artykułu R. Kowalewskiego na s. 56 reprodukujemy podobizny obu pań z Rakaposhi — Anny Czerwińskiej (z lewej) i Krystyny Palmowskiej (z prawej).

● Ostatni (78) numer „Mountain” zamieścił na s. 44 notatkę o Januszu Onyszkiewicz — tym razem nie jako alpinistę, lecz jako jednym z czołowych działaczy „Solidarności”. Przypomniano, że jego żoną była Angielka Alison Chadwick, która w r. 1979 poniosła śmierć na Annapurnie.

● *Dr Jerzy Kolankowski* (lat 66) został wybrany prezesem Jeleniogórskiego Klubu Literackiego. „Zimą 1980–81 — pisze — byłem 50 razy na nartach, 62 razy w górach i 10 razy na miniwspinaczkach zimowych. Myślę teraz o Tatrach, ale — na starsze lata — coraz dotkliwszy staje się problem partnera.”

Notatnik górski

JUBILEUSZ WYDAWNICTWA

60 lat temu alpinista i kupiec monachijski, Rudolf Rother, postanowił połączyć zawód z hobby i założył wydawnictwo górskie. Zaczął od klasyki: Julius Kugy, Eugen Lammer, Oskar E. Mayer (który nb. wspinał się także w Tatrach)... Niebawem poszły monografie alpejskie, serie przewodników, podręczniki narciarskie i wspinaczkowe. Dziś duża część niemieckiej literatury górskiej, to zasługa Bergverlag Rudolf Rother. Firma wydawała (i wydaje) własne czasopisma, przed wojną zbudowała nawet 3 schroniska w górach. Prowadzi ją obecnie Rudolf Rother junior, aktualnie zajęty realizacją 16-tomowej serii przewodników po Dolomitach. Poszczególne tomy — po ok. 450 stron każdy — piszą różni autorzy, jednak według jednolitego podziału terenowego i wspólnego schematu. 7 tomów wydziej jeszcze w tym roku, pozostałe — do r. 1983. Z okazji swego jubileuszu, Bergverlag Rother ustanowił nagrodę, która będzie przyznawana co 3 lata trzem ludziom zasłużonym dla rozwoju alpinizmu w RFN.

Jednym z 3 pierwszych laureatów jest Bruno Erath, długoletni autor i prezydent stałej audycji dla alpinistów w Bawarskim Radio.

OBIEG INFORMACJI WYSOKOGÓRSKIEJ

W kwietniu 1980 r. bawił w Polsce Carles Capellas Cabanes, przedstawiciel Centro de Documentacion Alpina Barcelona. Odbył on spotkania z polskimi dokumentalistami, Jerzym Wałą, Zdzisławem Rynem, Józefem Nyką, Wiktorem Ostrowskim. Ośrodkiem jest instytucją niezależną, informacje gromadzi i rozpowszechnia bezpłatnie, w tym roku znacznie wydawać własne czasopismo. Jego polskim korespondentem jest Ryszard W. Schramm. Dobrze rozwija się Internationales Bergarchiv DAV w Monachium, kierowane przez Toniego Hiebelera (por. T. 2/80 okładka). W początku r. 1981 powstało w Brukseli Centre Benelux de documentation sur la montagne, la spéléologie et la randonnée, którego dyrektorem jest M. Janssen. Gromadzi ono informacje górskie z całego świata, ich rozpowszechnianie ogranicza jednak

do krajów Beneluxu. Jego adres: Boulevard St. Michel 33 Bte 3 — B 1200 Bruxelles. Na przełomie kwietnia i maja kolejną podróż po europejskich ośrodkach informacji górskiej odbył redaktor „American Alpine Journal”, Adams H. Carter, który w Warszawie był gościem redaktora „Taternika”. Po drodze konferował m.in. z Tonim Hieblerem, Michałem Orolinem, Ivanem Fialą, Markiem Brniakiem, Andrzejem Zawadą, Lechem Wróblewskim, Markiem Malatyńskim, Malcolmem Slessorem. Odwiedził też Petera Lloyda oraz 90-letniego zdobywcę Nanda Devi, Noela E. Odella. W Paryżu od stycznia tego roku działa Centre de Documentation, powołane do życia przez CAF oraz GHM. Obsługuje ono m.in. „La Montagne” i „Annales du GHM”. Adres: 9, rue La Boétie, 75008 Paris.

POMAGAMY HOBBYSTOM

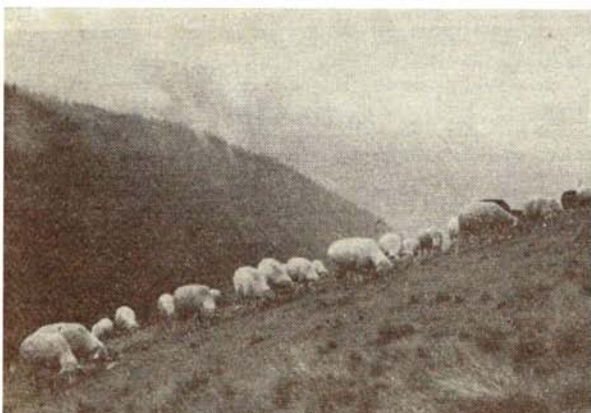
Pocztówki wyprawowe z podpisami kierowników oraz zdobywców szczytów kolekcjonuje J. K. Shrestha, 15/360 Chhetrapaty, Kathmandu, Nepal. W swoim zbiorze ma m. in. autografy Hillary'ego, Tenzinga, Scotta, Messnera, Roskelleya. — Holger Schneeweiss z Herten (RFN) zbiera odznaki klubowe i wyprawowe, naszywki, proporczyki itp. Odznaki PZA, KW i PKG ma już na swoich planszach. Chętnie nawiąże korespondencję w języku angielskim lub niemieckim: D-4352

Herten 6. Von-Eichendorff-Strasse 2a. — Tadeusz Langer z Kielc (ul. Armii Czerwonej 156 m 59, nr kodu 25-324) zbiera od r. 1972 znaczki pocztowe o tematyce speleologicznej. Jego zbiór obejmuje także rozdział poświęcony stowarzyszeniom speleologów i protolazów, do którego wchodzi m. in. koperty, które przeszły normalny obieg pocztowy, a poprzez nadawcę bądź adresata związane są z tematem.

SMACZNEGO!

Austriacki specjalista, dr Franz Berghold jest zdania, że podstawą racjonalnego odżywiania się na wędrowkach i wspinaczkach w górach jest urozmaicony i bogaty w węglowodany prowiant oraz przyjmowanie dużej ilości płynów. Za przesadę uważa on powszechne mniemanie, iż najlepszym środkiem napędowym jest cukier gronowy. Cukier organizm winien czerpać z pożywienia. Jego nagły dopływ w postaci pastylek cukru gronowego burzy subtelny wewnętrzny mechanizm i bardziej szkodzi, niż pomaga. A więc zamiast tabletek: owoce, pieczywo, keksy w czekoladzie, warzywa, topione sery. Jako źródło soli mineralnych, których brak w wodzie górskiej, dr Berghold poleca suszone owoce, szczególnie śliwki, uważa też, że w ciągu dnia wypijać trzeba 0,5—1 litra mleka. Odpoczywać radzi podczas marszu co 1½—2 godzin, a jeść i pić nawet wtedy — zwłaszcza wtedy! — kiedy nie ma się na to ochoty.

Chrońmy przyrodę gór



Stado owiec na Przełęczy Bobrowieckiej.

Fot. Józef Nyka

O TATRACH W SEJMIE

Sejmowe komisje Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego oraz Rolnictwa i Przemysłu Spożywczego przekazały prezesowi Rady Ministrów swe opinie na temat działalności Tatrzańskiego Parku Narodowego. Zgodnie ze skierowanymi do Sejmu dezyderatami

Związku Podhalan, uznały one iż stada owiec powinny powrócić na tatrzańskie hale, wypas należałoby jednak ograniczyć i nadać mu po części charakter folklorystyczny. Przejęte przez TPN drogą wywłaszczeń polany kośne należy, zdaniem komisji, przywrócić gospodarce łąkarskiej, wydzierżawiając je na dłuższe terminy poprzednim właścicielom. Posłowie są przeciwni projektom rozszerzania obszaru Parku w kierunku północnym, wypowiedzieli się też krytycznie na temat chaosu budowlanego w Kotlinie Zakopiańskiej oraz na Skalnym Podhalu. („Trybuna Ludu” 21 V 1981)

WALKA Z HAŁASEM W GÓRACH

W Alpach francuskich wprowadzono przed zimą 1980—81 zakaz uprawiania „narcjastwa powietrznego” (heli skiing) — z użyciem helikopterów, jako środków dojazdu. Kto chce zażyć rozkoszy puchu śnieżnego, musi przypiąć pod narty foki i wywindować się na szczyt siłą własnych mięśni. Szacuje się, że w r. 1980 z usług prywatnych helikopterów skorzystało w górach Francji 4—5000 bogatych narciarzy — z ogółem ok. 2 milionów amatorów dwóch desek. Problem nie ma więc większej wagi społecznej. W

Szwajcarii sprawa narciarstwa helikopterowego była rozpatrywana przez Bundesrat, który, niestety, przeciwstawił się wydaniu zakazów, argumentując swą decyzję rozbieżnościami w stanowiskach poszczególnych kantonów, a nawet wymogami bezpieczeństwa w górach (?). Liczba „taksówek powietrznych” wzrosła w Szwajcarii w latach 1969—79 z 28 do 94, zaś rzesza oficjalnie przewiezionych w r. 1979 narciarzy, alpinistów i turystów górskich (nie licząc oczywiście ratownictwa) liczyła 17 569 osób. („Naturfreunde International” 1/1981)

TATRZAŃSKIE OKNO W KOSMOS

„Vysoké Tatry” 2/1981 (por. T. 1/81 s. 12) przyniosły kolejny interesujący materiał o szczycie Łomnicy. Dowiadujemy się z niego, że w budynku wierzchołkowym pracują 3 zespoły badawcze Słowackiej Akademii Nauk: Zakładu Hydrometeorologii (w wiedzy), Zakładu Astronomii i Zakładu Fizyki Eksperymentalnej. Ten ostatni otrzymał niedawno „domek pomiarowy” (w formie niezbyt estetycznego baraczku), w którym — w ramach międzynarodowego programu Interkosmos — prowadzi za pomocą „supermonitora neutronowego” zautomatyzowane pomiary promieniowania kosmicznego.

Wypadki i ratownictwo

DAWNE TRAGEDIE TATRZAŃSKIE

W Vysoké Tatry” 2/1981 Jan Klínko zamieszcza zestawienie niewyjaśnionych do końca wypadków w Tatrach — od r. 1859 poczynając. Materiały pochodzą z kronik słowackich i nie obejmują na ogół strony polskiej. Dość osobliwie brzmi informacja o śmiertelnym wypadku dwóch taterniczek na Durnym w r. 1934. Opiera się ona — choć autor tego nie podaje — na notatce zamieszczonej w piśmie „Špešpi hiradó” 35/1934, nie ma jednak potwierdzenia w publikacjach polskich. To prawda, że nie wszystkie wiadomości o wypadkach Polaków po południowej stronie Tatr trafiły do „Taternika” (czy do „Wierchów”, jednakże śmierć dwóch taterniczek — w parę lat po tak głośnych tragediach sióstr Skotnicównien (1929) oraz Honowskiej i Krókowski (1928) — nie mogłaby pozostać bez szerszego echa.

AKLIMATYZACJA JEST KONIECZNA

W tym samym czasie, kiedy nasza słowacka wyprawa atakowała Mount McKinley od południa (T. 1/81 s. 22), starą drogą z Mudrow Głacier wspięła się czwórka Czechów, niezbyt doświadczonych w górach wysokich i nieaklimatyzowanych. W ostatnim obozie, założonym pod Denali Pass, trzech z nich zapadli na chorobę górską. Zamiast natychmiast rozpocząć odwrót, w dniu 12 czerwca trójka (2 chorych, 1 zdrowy) wyruszyła w kierunku szczytu. Obaj chorzy na grani poczuli się źle i zawrócili, utknęli jednak powyżej Denali Pass. Trzeci, Jan Mykeska, osiągnął szczyt, z którego zszedł nie granią, lecz wprost do najwyższego obozu. Minał się w ten sposób z chorymi kolegami, którym na szczęście pomocy udzielił przypadkowo

Urządzenie waży 12 ton (!) i analizuje nieprzerwanie całe spektrum kosmicznej radiacji, płynącej ze Słońca oraz innych obiektów. Pomiary prowadzone są od r. 1957 — w ścisłej współpracy z 50 innymi laboratoriami światowej sieci.

O OCHRONĘ NAZW LUDOWYCH

„Stol ni Kobariški Stol” — to tytuł artykułu Jurija Šimaca w „Planinskim vestniku” 4/1981, protestującego przeciwko zmianie na mapach turystycznych nazwy „Stol” na „Kobariški Stol”, uzasadnianej tym, że w górach Słowenii są dwa popularne Stoły — drugi w pasmie Karawanków (2236 m). Autor stwierdza, że nazwy są częścią krajoznawstwa kulturowego i winny podlegać ochronie, podobnie jak przyroda i zabytki. Wszelkie dowolne zmiany — przerabianie nazw ludowych bądź wymyślanie nowych — prowadzą do wypaczenia utrwalonego w nich obrazu naturalnych wizerunków ludzi z krajoznawstwa. „My alpinisci — pisze — chętnie mówimy o ochronie górskiego środowiska. A przecież stare nazwy ludowe są taką samą jego częścią, jak flora i fauna, jak zabytki historii i inne elementy dziedzictwa kulturowego. Niefortunny Kobariški Stol winien być co prędzej z map usunięty i zastąpiony jedynie uprawnioną formą *Stol* — bez określającego go dodatku.”

przybyli zachodnią grania Habeler i Meirer, wzywając przez radio helikopter ratowniczy. Mykeska zastał w obozie najciężej chorego J. Novotnego, który nie był już w stanie utrzymać się na nogach. Zajął się nim, oczekując pomocy, nie była ona jednak możliwa z powodu zawieruchy. Po trzech dniach, 15 czerwca, Novotny zmarł, a Mykeska — sam też już niezdrow — czekał dalej, leżąc w namiocie obok zwłok kolegi. Na szczęście 16 czerwca rozogodziło się i można było przeprowadzić akcję helikopterową. Relacjonuje ten wypadek w „Taterniku” dla przestrogi, a także dlatego, ponieważ w kilku zachodnich czasopismach górskich omówiono go niezgodnie z prawdą, pisząc o porzuceniu chorego partnera przez kolegów.

Miloslav Neumann

GRUPA TATRZAŃSKA GOPR 1980

Grupa Tatrzańska GOPR udzieliła w r. 1980 pomocy w 1893 przypadkach: narciarskich — 976, narciarskich ciężkich — 333, turystycznych — 674 i taternickich — 110. Wypraw ratunkowych zorganizowano ogółem 69, a to w związku z wypadkami:

- taternickimi 16;
- turystycznymi 45;
- narciarskimi 5;
- jaskiniowymi 2.

Wypraw poszukiwawczych odbyło się 26. W 4 przypadkach poszukiwano taterników, w 18 turystów, a w 2 narciarzy. Śmierć poniosło łącznie 18 osób, czyli prawie tyle samo, co w roku poprzednim (T. 1/80 s. 39). Wśród ofiar tych było 4 taterników, 7 turystów i 5 narciarzy.

Krystyna Satyga-Dąbkowska

We wrześniu 1979 r. w rejonie lodowca Kijai w indyjskim Kaszmirze zaginęli Jan Oficjalnski i Jacek Szczepański. Szczegóły niewyjaśnionego wypadku zostały omówione w „Taterniku 1/1981 na s. 39.



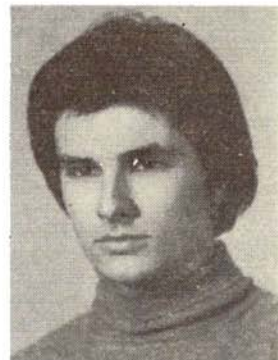
**JAN
OFICJALNSKI**

Urodził się 19 sierpnia 1952 r. w Radomiu. Już w latach szkolnych zwracał uwagę szerokimi zainteresowaniami, szczególnie w dziedzinie nauk ścisłych. W okresie liceum był trzykrotnym laureatem Olimpiady Fizycznej, w tym dwa razy zwycięzcą, a jego cichą pasją stała się fizyka. Konsekwencją były studia na Wydziale Fizyki UW, które ukończył w r. 1976. Następnie podjął pracę na uczelni, kontynuując jednocześnie studia doktoranckie w dziedzinie elektrodynamiki kwantowej. Jednak krąg dążeń Janka przekraczał sztywne ramy fizyki. Jakby intuicyjnie wyczuwał, że aby pojąć nie wystarczy analizować i być biernym obserwatorem. Zrozumieć, znaczy przeżyć, tym bardziej, jeżeli to są góry, które nagle pojawiły się w życiu. Nadały one nowych treści jego bogatej osobowości, stanowiąc jeszcze jedną możliwość zgłębiania świata, zgłębiania siebie.

Oto kilka ważniejszych przeżyć Janka:

- Mnich, droga Stanisławskiego 6 II 1975;
- Mięguszowiecki Szczyt, „direttissima” północnej ściany 12 II 1975;
- Sciara di Fuori, filar zachodni (V+, A1) 15 VII 1975;
- Cengalo, filar północno-zachodni (V+) 20 VII 1975;
- Piz Badile, droga Cassina (V+) 25 VII 1975;
- Kopa Kiełmarska, lewy filar północnej ściany 22 XII 1976;
- Lyskamm, północna ściana, droga Moosera 28 VII 1977;
- Ponad Kociół Turnia, droga Dorawskiego 7-8 II 1978;
- Les Courtes, północna ściana, „deska szwajcarska” 23 VII 1978;
- Petit Dru, północna ściana, droga klasyczna 27-28 VII 1978;
- Mont Blanc, wschodnia ściana, *Sentinelles Rouge* 8 VIII 1978.

A zaczęło się wszystko zaraz po maturze — wiosną 1971 roku, kiedy podniecony spotkaniem z Nieznanym ujrzał Tatry spowite mgłą. Porywisty wiatr miółł deszczem i śniegiem, a pierwsze doznania były wręcz bolesne. A jednak powracał i wrócił na zawsze...



**JACEK
SZCZEPAŃSKI**

Urodził się 9 lipca 1953 r. w Radomiu. Z górami zetknął się spędzając często wakacje u podnóża Tatr i na turystycznych wólczech. Później poznał różne formy działalności górskiej; był świetnym narciarzem, chodził po jaskiniach (m.in. Czarnej, Wysokiej, Szczelinie Chochołowskiej), ale dopiero pełną satysfakcję miały mu dać trudny wspinaczek skalnych i lodowych. Aktywnym sportowo zaczął być w r. 1969, a kolejne sezony przynosiły przejścia tatrzańskie i alpejskie:

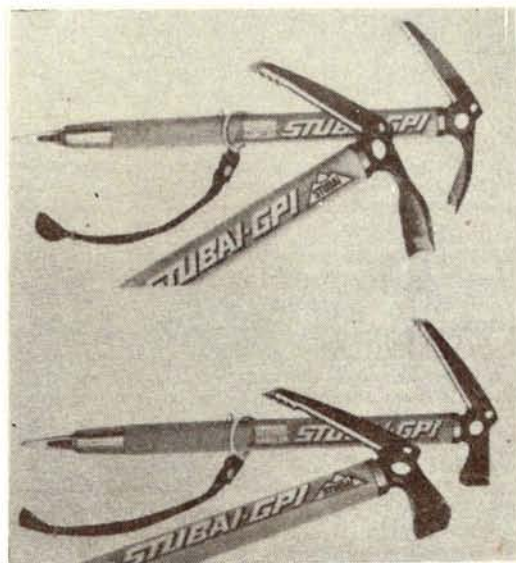
- Travník, północna ściana, droga Aschenbrennera, sierpień 1973;
- Mont Blanc, I polskie wejście przez „Gruszkę” 20 VII 1975;
- Mont Blanc, I polskie wejście Czerwonym Filarem Brouillard 27-28 VII 1975;
- Les Droites, I polskie wejście północno-wschodnim filarem „direct”, 4-5 VIII 1975;
- Kazalnica, droga Łapińskiego 15-16 II 1976;
- Galeria Gankowa, północna ściana, droga klasyczna 31 XII 1976;
- Matterhorn, ściana północna, droga Schmidów, sierpień 1977;
- Granaty, żleb Drège’a 18 II 1977;
- Mała Rogata Szczerbina, komin Węgrzynowicza 6 II 1978;
- Kazalnica, kant filara 19-21 II 1978;
- Przełęcz pod Chłopkiem, wprost od północy 27 III 1978;
- Kazalnica, droga Gryczyńskiego 30 III 1978;
- Petit Dru, ściana północna, droga klasyczna, li-piec 1978;
- Aiguille Noire du Peuterey, ściana zachodnia, droga Vitali-Ratti, sierpień 1978.

Niecierpliwym w spotkaniu ze ścianą, jakby w irracjonalnym oderwaniu od rzeczywistości, z zapalem realizował coraz bardziej

ambitne cele. Spontaniczny, pełen niespokojnych pomysłów, a przy tym niepozbowiany osobistego uroku, był lubianym i cenionym partnerem, nie tylko w ścianie ale i w towarzystwie. Wiosną 1979 r. ukończył studia na Wydziale Elektroniki Politechniki

Gdańskiej i z entuzjazmem rozpoczął przygotowania do kolejnej Wielkiej Przygody, jaką miały być Indie i Himalaje. Z wyprawy już nie powrócił.

Tomasz Czarski



„STUBAI” PROPONUJE

Wspinaczki w stromym lodzie rozpowszechniają się i u nas, warto więc przedstawić narzędzia przy tym używane. Oto propozycje firmy „Stubaï” Fulpmes: czekanik Hidden-Peak (nr kat. 9036) i czekanomłotek Rupal (kat. 9038) — oba wypróbowane przez Habelera i Messnera. Łopatka czekanika służy do rąbania stopni i jako podpórka w lodzie, obuszek czekanomłotka ma sporą po-

wierzchnię, gdyż haki wbija się nieraz w trudnych pozycjach. Długość obu przyrządów: 50 cm, waga 700 i 750 g. Styliska wykonane są ze specjalnie wzmocnionego tworzywa „GPI”, cechującego się dużą wytrzymałością. Tworzywo to nie ziębi dłoni i tłumia drgania, a jego powierzchnia jest szorstka, co sprawia, że stylisko tkwi pewnie w ręce. Zamiast czekanomłotka można też użyć uniwersalnego młotka „Walker” (długość 36 cm, 750 g, kat. 9956). Sfalowanie wierzchu głowicy ułatwia wyciąganie haków, trzonek przechodzi w wydłużone uszko, w firmie służące jako kolec, pomocne też przy wkręcaniu śrub lodowych. Drugą pętelkę zakłada się na przegub dłoni. Młotek oddaje także doskonałe usługi w terenie miktowym, a nawet w skale.

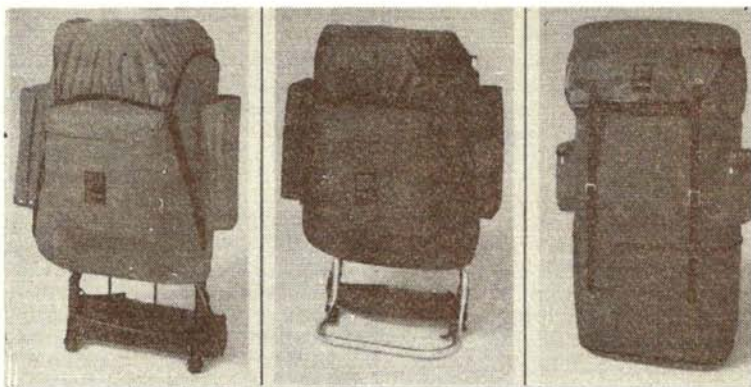
LINY I ŚRODKI CHEMICZNE

Producenci zgodnie podkreślają w swych instrukcjach, że liny wspinaczkowe należy chronić przed stycznością z wszelkimi chemikaliami, a nawet oparami chemikaliów. Na pytanie pewnego wspinacza, który przez nieuwagę polał swą linę benzyną, Sicherheitskreis DAV zasięgnął opinii wytwórni włókien poliamidowych „Bayer A.G.”. Odpowiedź brzmiała uspokajająco: benzyna, nafta, ropa poliamidowi nie szkodzi. Nie ufając tej wypowiedzi, przeprowadzono pró-

Plecaki roku 1981 — z katalogu „Fürst of Switzerland” Wädenswil. Pojemność (od lewej) 50, 40, 40 i 33 l, waga 1,5 1,5, 1,4 i 1,4 kg. Materiał: Gattino-Vinyl. Stelaże wbudowane w plecy worków.



...I trzy plecaki wyprawowe tejże firmy, 30, 35 i 75 l, waga 1,3, 1,5 i 1,75 kg. Model z prawej strony ma stelaż wszyty w plecy. Ceny nie podano.



by zrywania lin namoczonych w różnych rodzajach benzyny. Potwierdziły one oświadczenie „Bayer A.G.”: wytrzymałość zrywanych odcinków pozostawała bez zmiany. Groźne dla lin są natomiast wszelkie kwasy. Repsznur, który w bagażniku samocho- du wszedł w styczność z płynem akumulato- rowym, zerwał się pod obciążeniem 20 kg. Kęczoznawcy ostrzegają więc, by liny z włó- kien sztucznych przechowywać szczególnie starannie, a przy podejrzeniu wejścia w styczność z kwasami — wycofywać je z uży- cia.

KASKI WSPINACZKOWE

Po 4 latach prac przygotowawczych, Kom- isja Bezpieczeństwa UIAA na swym listo- padowym posiedzeniu przyjęła ostatecznie normy techniczne dla kasków. Norma okre- śla wymogi wytrzymałościowe czaszy przy

obciążeniu z góry oraz z ukosa w osi czoło- wej. Próby prowadzone są w dwóch tempe- raturach: +35 i -20°. Bada się też pasy mo- cujące kask na głowie, wykończenie wnętrza oraz wentylację. Jako górną granicę wagi przyjęto 800 g (waga większości modeli waha się około 450—500 g). Na zebraniu zademon- strowano wgnieciony na ciemieniu kask „Römer” — uratował on życie wspinaczowi, który po 30-metrowym locie na Torre Ven- ezia uderzył głową w półkę skalną. Kask wytłumił energię upadku, a wspinacz stracił tylko na chwilę przytomność. Duży przegląd kasków wspinaczkowych zamieściło czasopi- smo jaskiniowe „Spelunca” w numerze 1/1981. Podano cechy poszczególnych modeli, ich zdjęcia, a także oceny poszczególnych pa- rametrów. Zbiór opracowanych przez Komisję Bezpieczeństwa UIAA technicznych norm ja- kościowych dla kasków zawiera „UIAA Bul- letin” nr 93 z marca 1981 r. (s. 4—7).

NOWINKI SPOD ZIEMI

* „Die Alpen” 7/1980 przynoszą artykuł poświęcony historii Schweizerische Gesellschaft für Höhlenforschung. Jej zaczątkiem był za-łożony w r. 1930 klub „Les Boueux”, który rozwinął się w latach wojny, gdy poszuki- waniem jaskiniowymi zainteresowała się ar- mia. Obecnie Towarzystwo ma 31 sekcji z przeszło 800 członkami, a jego komisje pra- cują na niwie technicznej, sportowej, nauko- wej i kulturalnej.

* „Naše planine” 9—10/1980 zamieściły wy- kazy najdłuższych i najgłębszych jaskiń Chor- wacji. Kraj ten ma 16 jaskiń dłuższych niż 1000 m — najdłuższe: Jopičeva spilja 6312 m i Veternica 5994 m, 10 jaskiń przekracza głą- bokość 250 m, najgłębszymi są Ponor na Bu- novcu (-534 m), Jama kod lugarnice na Bio- kovu (-520 m) i Crveno jezero (-518 m). Wykazem nie objęto jaskiń nie mających do- kładnych pomiarów.

* Jedną z najobszerniejszych czeluści Euro- py jest zbadana w r. 1968 Jama Mameł w Po-

łudniowym Velebitcie. Otwór o rozmiarach 50 x 60 m wprowadza do studni 206 m głą- bokości. Wymiary dna: 90 x 160 m.

* Grotolazi posługują się w swym działa- niu skalą trudności ukształtowaną dla alpiniz- mu powierzchniowego, która nie całkiem pa- suje do specyfiki jaskiń. Jedną z komisji Jamarskiej zvezy Slovenije przygotowała pro- jekt skali trudności podziemnych. Ma ona 6 stopni oraz 3 stopnie do wyrażania trudno- ści z użyciem technicznych pomocy, obejmu- jących wszystkie rodzaje sztucznych środków stosowanych pod ziemią. („Jamarske novice” 16 III 1981).

* Do GKKFiS oraz PZA nadeszły podzię- kowania od oddziału florenckiego Corpo Na- zionale Soccorso Alpino za ofiarną postawę grupy polskich speleologów, która uczestni- czyła w akcji ratunkowej w Antro del Cor- chia w dniach 27 i 28 lipca 1980 r. Polską wyprawą kierował Rafał Kardaś. („Komuni- kat 1” KW Warszawa).

ALPINIZM I KULTURA – WYSTAWY

W Zakopanem wydarzeniem kulturalnym zimy 1980—81 była otwarta 5 marca w Galerii BWA wystawa grafiki i rysunku Andrzeja Pietscha. Obejmowała ona głównie świeży dorobek artysty — z gorczańskiej Skalki — ale także nieco prac starszych, m. in. z cyklu impresji pięciostawiańskich. — W dniu 5 maja 1981 r. w „Zielonej Galerii” ZPAF w Warszawie otwarta została wystawa fotografii Ryszarda Ziemaka, w połowie poświęcona motywom tatrzańskim, z których nota bene sztuka autora się wywodzi. Tę piękną, pełną subtelnej kultury plastycznej wystawę miło nam odnotować tym bardziej, że Ryszard Ziemak należy do bliskich współpracowników „Taternika”, w którym publikuje zdjęcia — w tym kilka okładek — od r. 1965 poczynając.

Deutscher Alpenverein w porozumieniu

z Referatem Kultury miasta Monachium przygotowuje na miesiące letnie wielką wystawę współczesnego malarstwa górskiego, zatytułowaną „Bild der Berge 81”. Za najlepsze prace przyznane będą nagrody w wysokości 2000—1000 marek. Wystawa ma pokazać, jak wybitni współcześni twórcy (amatorzy nie są dopuszczani) podchodzą do tak złożonego tematu, jak krajobraz górski. Konfrontacja osiągnięć winna dać impulsy do szukania nowych środków wyrazu. Natomiast artystów w wieku od 7 do 15 lat zmobilizowała Gruzińska Federacja Alpinizmu. Współ z Galerią Sztuki Dziecięcej w Tbilisi rozpięła konkurs rysunkowy „Moje góry”. Wpłynęło na niego 600 prac — tak ciekawych, że większość wystawiono nie tylko na miejscu, ale także w Moskwie w ramach Tygodnia Filmów Górskich.

Drobiazgi historyczne

WYPRZEDZILI NAS SŁOWĘNCY

Miesięcznik „Planinski Vestnik”, przyniósł w numerze 3/1978 interesujący artykuł o „odkryciu” całkowicie zapomnianego słoweńskiego towarzystwa górskiego z trzeciej ćwierci XIX wieku. Była nim założona w r. 1872 z inicjatywy kapłana Ivana Zana Bohinjsko-triglavska drużba „Triglavski prijatelji” (urzędowo po niemiecku: Triglav Alpverein in der Wochein). Mimo nie zatwierdzenia przez władze, prowadziła ona działalność przez 2 lata, miała własne schronisko (Triglavski dom) i swój szlak na Triglav. W r. 1874 została zdławiona przez niemiecko-austriacki Alpenverein, który założył w Lublanie silnie popieraną własną sekcję. Przypomniane towarzystwo jest pierwszą słowiańską organizacją górską, zresztą tylko o 2 lata starszą od Towarzystwa Tatrzańskiego, zmienia też kolejność w pierwszej dziesiątce listy najstarszych zrzeszeń górskich w Europie.

Rys. S. Schrank

Józef Nyka



KUFEL PIWA

Ludwig Purtscheller (1849—1900), nauczyciel gimnastyki z Salzburga, był człowiekiem omotanym górami. Wszedł na 1700 różnych szczytów, wśród nich w r. 1889, jako pierwszy, na Kilimandżaro. Robił po kilka wejść w ciągu jednego dnia. Wziął kiedyś w niedzielę na wypad w Hohe Tauern kolegę z gimnazjum, nauczyciela łaciny — ciekawego gór, ale niewprawnego w ich zdobywaniu. Gdy weszło słońce, byli już na wierzchołku trzytysięcznika. Po zejściu, Purtscheller zaproponował drugi szczyt podobnej wysokości. Kolega-łacinnik wszedł na niego solidnie zmęczony i nie reagował już na uroki alpejskiej panoramy. Rad był ogromnie, gdy ponownie wrócili w dolinę. Tu jednak nienasycony Purtscheller uznał, że należy im się „deser”: jeszcze jeden trzytysięcznik. Biedny towarzysz po kolejnym wejściu i zejściu ledwo trzymał się na nogach. Teraz jednak czekał ich bieg do wieczornego pociągu. Gdy około północy znaleźli się na stacji kolejowej, powłóki się w kierunku bufetu. „A czego pan szuka w bufecie?” — zapytał szczerze zdumiony Purtscheller. „Kufel piwa!” — „Co — obruszył się — piwa? To jeszcze mało miał pan dzisiaj przyjemności?”

140 LAT TEMU

„Mitteilungen DAV” 1/1981 przyniosły przedruk notatki ze starej gazety, informującej o pierwszym wejściu na Grossvenediger (3764 m) w zachodnich Hohe Tauern, dokonanym 3 września 1841 r. przez 13-osobową wyprawę. Wejście to zorganizował — może jedyny przypadek w historii alpinizmu — Obywatelski Komitet dla Zdobywania Wielkiego Venedi-

gera, zawiązany w miasteczku Mittersill, pod przewodnictwem von Kürsingera. Od kandydatów — „miłośników przyrody i cudownego świata Alp” — wymagano ostrych raków, okutego kija górskiego oraz zielonych okularów. Przewodników i liny do asekuracji komitet przygotował sam. W notatce przypomniano, że na szczycie nie stanęła wcześniej „żadna ludzka dusza”, a podjęta w sierpniu 1828 r. próba wejścia załamała się niestety niedaleko lodowego czubka. (Próbie tę — dodajmy — zainicjował arcyksiążę Jan Habsburg, a wspinano się niełatwą północno-zachodnią ścianą. Kres przedsięwzięciu położył wypadek lawinowy.)

NIEUŁĘKLI TATERNICY

W roczniku 1927 miesięcznika „Turysta”, w numerze 6—7, znaleźliśmy następującą notatkę: „Groźny szczyt tatrzański Zamarła Turnia, który dotychczas zdobyty był przez 12 nieulekłych taterników, a wielu śmiałków przyprawił o śmierć, uległ w roku bieżącym trzechkrotnie taternikom. Trzynasty raz opawanym on został przez narciarzy zakopiańskich B. Czecha i St. Motykę, czternasty raz przez prof. Uniwersytetu Warszawskiego, Rożkowskiego i inż. Ciesielskiego, a po raz piętnasty ponownie przez B. Czecha i przewodnika zakopiańskiego, Józefa Krzeptowskiego.”

Z naszej poczty

WYPADEK W BĄNDZIOCHU – ODPOWIEDZ

Bez entuzjazmu wracam do części swego artykułu z „Taternika” 2/80, dotyczącej wypadku Czesława Otrząska. Wyglaszanie sądów oskarżycielskich pod czymkolwiek adresem nie jest przyjemne, zawsze też w takich sprawach opieram się na w miarę najlepszych informacjach, skrupulatnie je analizując. Do rozważań wciągam trzeźwo myślących kolegów klubowych i przy pomocy tego nieformalnego gremium staram się dojść do ostatecznych wniosków. Na szczęście, jeśli chodzi o wypadek w Bąndziochu, w kwestii informacji nie mam sobie nic do zarzucenia, bowiem jedynymi informatorami byli: poszkodowany oraz jego partner, Ignacy Pietrzak. Dlatego też zamieszczone w T. 1/81 (s. 47) „sprostowanie” zaskoczyło mnie z powodu sprzeczności informacji w nim podanych bądź przemilczanych, z tymi, jakich autor udzielił nam w czasie akcji.

Dowiadujemy się więc, że natychmiast po upadku na śniegu uświadomił sobie to, że Pietrzak nie usłyszy jego wołania. Świetnie, dlaczego w takim razie wołał, a na dodatek podobno słyszał jakiś odzew partnera — tak mówił B. Probulskiemu, W. Łapińskiemu i mnie, kiedy wypytywaliśmy o przebieg całego wydarzenia. Wypadek miał miejsce około godz. 21 i wtedy podobno w Bąndziochu szalała wichura z deszczem, redukując dodatkowo słyszalność. Może faktycznie tak było, w każdym razie w okolicy schroniska przy Morskim Oku już około godz. 20 panowała cisza i spokój.

Dalej — też około godz. 21 — I. Pietrzak „po sklarowaniu liny zaczął szybko schodzić”, chcąc dogonić kol. Otrząska. Spotkaliśmy go 50 m poniżej Czarnego Stawu po godzinie 23 — całkiem niezły czas na trasie Bąndzioch Czarny Staw, jak na szybkie schodzenie! Spotkany przez nas, stwierdził faktycznie, że jego towarzysz jest już prawdopodobnie w schronisku — na szczęście nie uwierzyliśmy w tę wersję, tym bardziej, że po roztaniu się z nami (my w górę, on do schroniska) zawołał nas, aby powiedzieć, że dobrze byłoby rozglądać się w okolicach koleby w Bąndziochu, bo być może tam znajduje się Otrząsek, gdyż był „trochę staby”! Pognaliśmy więc pełni złych przeczuć w kierunku koleby i znowu „, na szczęście” zwołaliśmy trochę kroku na płaskim odcinku, dzięki czemu udało mi się usłyszeć pojękiwania, dobiegające się z kosówek jakieś 50 m w prawo od szlaku.

Wybacz Kolego, ale nie byłeś w stanie zrobić już ani jednego kroku. Coś jeszcze mówiłeś, chwilami nawet z sensem, lecz jak się wkrótce przekonałem, nie była to świadomość, bo po paru godzinach orzwania i po wypiciu pół litra gorącej herbaty, kiedy już leżałeś na płaskim kamieniu w dwóch śpiworach, okazało się, że nie pamiętasz gdzie byłeś, ani tego, jak Cię wyciągnąłem, ani żadnego szczegółu z pierwszej godziny naszego spotkania. Dopiero w tych śpiworach Twoje mięśnie

odzyskały zdolność drżenia, wcześniej były zimne i bezwładne. Dlatego Twoja niezachwiana pewność wyrażająca się w słowach „nie wiem, dlaczego autor pisze, że znalazł mnie nieprzytomnego — przytomności nie straciłem nawet na moment” — dla mnie jest po prostu nie na miejscu.

Dlatego też uważam, że moja prawda o wypadku Czesława Otrząska jest bliższa prawdy, aniżeli jego prawda, poddana półtorarocznej obróbce laskawego czasu, wobec czego proponuję Szanownemu Czytelnikowi by nie przyjmował do wiadomości ogłoszonego sprostowania.

Andrzej Osika

JERZY SAWICKI, STANISŁAW MOTYKA

A propos „Taternika” 4/1980. Cieszę się z ukazania się wspomnienia Tadeusza Pawłowskiego o Ludwiku Januszkiewicz. Ale w związku z tym dopominam się ponownie o wspomnienia o Szmaciarczy — Jurku Sawickim. W zestawieniu tych dwóch taterników Szmaciarczy był na pewno osobą więcej znaczącą. W okresie swej działalności w Tatrach należał do postaci pierwszoplanowych, zarówno jeśli chodzi o własne dokonania, jak i silny i zdrowy ferment, który powodował m.in. przez polemiczne dyskusje o taternictwie zimowym, redagowanie „Krzesanicy” (dosyć efemerycznej, ale zawsze...), osobiste kontakty i wystąpienia.

Przy sposobności prośba. Gromadzę materiały do artykułu o Staszku Motyce i chciałbym za pośrednictwem „Taternika” zwrócić się do Czytelników o informacje o nim. Cenne będą choćby najkrótsze, najbłahsze, najbardziej osobiste wspomnienia wszystkich, którzy się z nim stykali. Przy zbieraniu materiałów o Koku Narkiewiczuz zdołałem umieścić taki apel w „Przekręju” — odzew był z całego świata.

Ryszard W. Schramm

TEMATYKA JASKINIOWA

Piszesz w liście, Redaktorze, że niepokoi cię dublowanie się materiałów zarówno w „Taterniku” i powielanych czasopiśmiech jaskiniowych, jak i w samych owych biuletynach, których mamy dziś kilka, z oficjalnym „Speleo” na czele. Sprawa nie jest prosta. Treść biuletynów wiąże się z aspiracjami ich redakcji, które chciałyby obejmować całość działalności. Jeśli chodzi o „Taternika”, to moim zdaniem należałoby utrzymać artykuły i informacje z zakresu taternictwa jaskiniowego nawet w sytuacji dalszego pomyślnego rozwoju „Speleo”. Wynika to chociażby z faktu, że krag odbiorców „Taternika” jest o wiele szerszy — aż po zwykłych turystów włącznie. Zwłaszcza brać taternicko-powierzchniową powinna o nas wiedzieć trochę więcej, gdyż w bilansie wiadomości jedni o drugich jesteśmy cały czas górą, i to z przynajmniej jedną przewagą. Należałoby jedynie unikać publikowania materiałów identycznych, a także przyjąć zasadę, że najbardziej szczegółowy materiał powinien się ukazywać w „Speleo”. Sprawy te zostały już zresztą omówione w naszym gronie i nie powinno być tak drastycznych przypadków, jak ostatnio.

Andrzej Ciszewski

TATERNIK

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA,
ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Redaktor: Józef Nyka, ul. Kludyny 12 m. 79,
01-684 Warszawa

Adres Redakcji:

00-624 Warszawa, ul. Marszałkowska 1 p. 47
Tel. 25-40-41 wewnętrzny 312

Adres Polskiego Związku Alpinizmu:

00-010 Warszawa, ul. Sienkiewicza 12 p. 444
Tel. 26-69-56

WARUNKI PRENUMERATY:

Cena numeru **20 zł.**

Prenumeratę na kraj przyjmują oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele pocztowi. Od następnego numeru cena zeszytu wynosić będzie 35 zł. Warunki prenumeraty podamy później.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje itp. zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś, w których nie ma oddziałów – w urzędach pocztowych. Prenumeratorzy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla instytucji i zakładów pracy.

Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych prowadzi na uprzednie pisemne zamówienia Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa-Książka-Ruch”, 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28.

WYDAWCA:

RSW „Prasa-Książka-Ruch” Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A.
Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-56-19. Biuro Reklam i Ogłoszeń, 00-679 Warszawa, ul. Wilcza 62. Telefon 28-07-32.

Druk: PZG RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Smolna 10/42. Zam. 470. L-96.

NR 2 (251)

1981

CONTENTS

Air and soil contamination as a result of car traffic in the Tatras (W. Zieliński) . . .	49
Somato-psychological experiences during rock-climbing (M. Mikolajczyk) . . .	51
My alpine fourthousander (J. Hajdukiewicz) . . .	52
Spitzbergen 1980, Atomfjella mountains (R. W. Schramm) . . .	53
Crimea 1980, International Climbing Competition (A. Lwow) . . .	54
Rakaposhi, second ascent, new route (R. Kowalewski) . . .	56
Dhaulagiri East Face alpine style L. Wilczyński) . . .	61
Makalu attempt 1980 (D. Scott) . . .	64
In the Pamir mountains 1980 (D. Miodowicz-Wolf and A. Machnik) . . .	65
In the vertical world of Yosemite (K. Zurek) . . .	68
Objectivness of the difficulty rating system (P. Wojtek) . . .	70
The „Syfony Group” in the history of the Tatra climbing (J. A. Szczepański) . . .	71
New caves in the Tatras (M. Napierata) . . .	75
To the bottom of the Gouffre Jean-Bernard, 1981 (A. Ciszewski) . . .	77
News from the Tatras — 79. New routes in the Tatras — 81. Expeditions — 82. Various mountains — 84. Organization notes — 87. Alpine notebook — 88. Mountain nature preservation — 89. Mountain accidents — 90. In memoriam — 91. Equipment — 92. Caving — 93. Culture — 94. Historical notes — 94. Letters and comments — 95.	

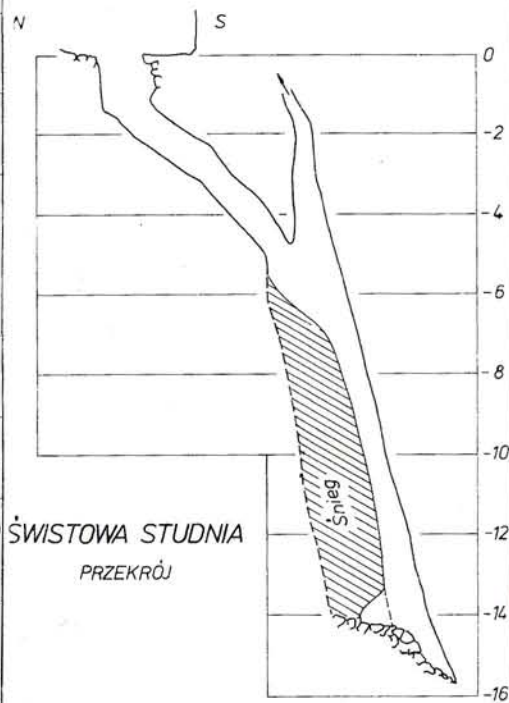
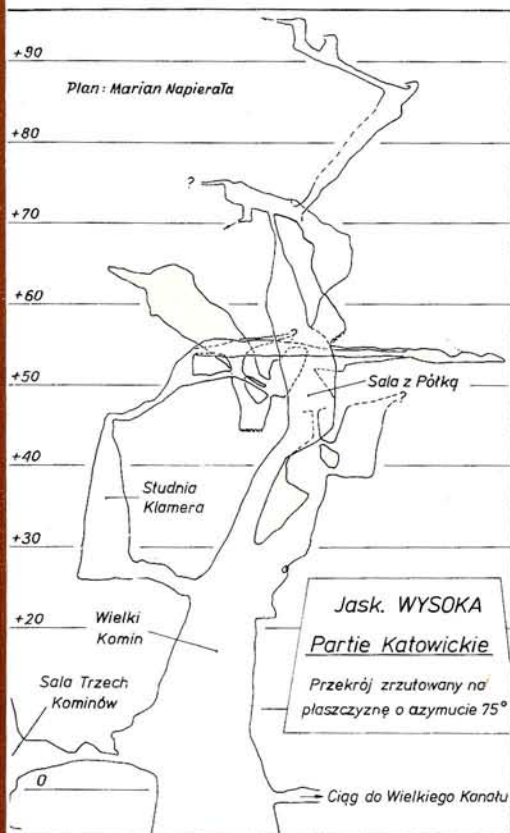
INHALT

Hohe Tatra: Luft- und Bodenvergiftung durch den Kraftverkehr (W. Zieliński) . . .	49
Somatisch-psychische Empfindungen während des Kletterns (M. Mikolajczyk) . . .	51
Ich bestieg alle Viertausender der Alpen (J. Hajdukiewicz) . . .	52
Spitzbergen — Atomgebirge, 1980 (R. W. Schramm) . . .	53
Krim 1980: Meisterschaften im Zeitklettern (A. Lwow) . . .	54
Rakaposhi erstmals über den NW-Grat (R. Kowalewski) . . .	56
Makalu — ohne Erfolg (D. Scott) . . .	64
Pamir 1980 (D. Miodowicz-Wolf und A. Machnik) . . .	65
In der steilen Welt der Yosemite (K. Zurek) . . .	68
Vorschlag zur Objektivisierung der Schwierigkeitsbewertung (P. Wojtek) . . .	70
Die Syfony-Gruppe in der Geschichte des Tatra-Bergsteigens (J. A. Szczepański) . . .	71
Neue Entdeckungen in den Tatra-Höhlen (M. Napierata) . . .	75
Erneut am Boden der Gouffre Jean-Bernard, 1981 (A. Ciszewski) . . .	77
Jerzy Wala über seine Karakorum-Landkarten . . .	77

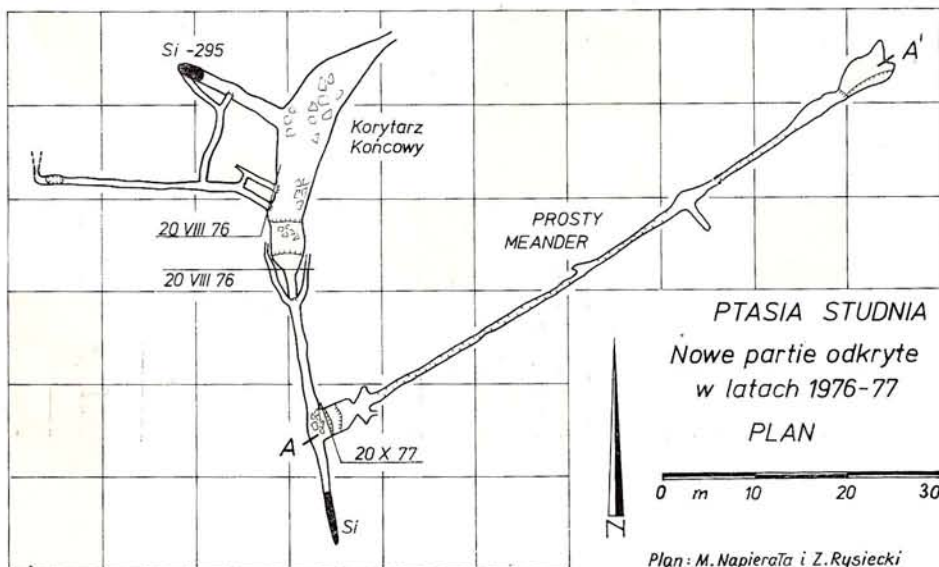
Neues aus der Hohen Tatra — 79. Neue Führen in der Hohen Tatra — 81. Expeditionen — 82. Diverse Bergfahrten — 84. Aus dem Organisationsleben — 87. Alpines Notizbuch — 88. Schutz der Bergwelt — 89. Bergunfälle — 90. Nekrologe — 91. Bergausrüstung — 92. Höhlenforschung — 93. Kultur — 94. Aus der Vergangenheit — 94. Aus unserer Post — 47.

Nr indeksu 37 901

Odkrycia jaskiniowe w Tatrach –
do artykułu M. Napierała na s. 75



Plan: M. NAPIERAŁA 1977





Oprac. Ryszard W. Schramin
 Rys. Juslyna Nyczanka

Góry Atomfjella – mapa do artykułów na stronach 21 i 53. – 1. Ruthefordfjellet; 2. Grössfjellet; 3. Einsteinfjellet; 4. Bohrryggen; 5. Thomsonryggen; 6. P. 1173 m 7. P. 1504 m; 8. P. ok. 1600 m; 9. Perriertoppen; 10. Pallasfjellet; 11. i 12. Ceresfjellet; 13. Langfjellet; 14. Junofjellet; 15. Irvinefjellet; 16. Neutronfjellet; 17. Chadwickryggen; 18. Vestafjellet; 19. i 20. Jellstrupfjellet.